



This is a digital copy of a book that was preserved for generations on library shelves before it was carefully scanned by Google as part of a project to make the world's books discoverable online.

It has survived long enough for the copyright to expire and the book to enter the public domain. A public domain book is one that was never subject to copyright or whose legal copyright term has expired. Whether a book is in the public domain may vary country to country. Public domain books are our gateways to the past, representing a wealth of history, culture and knowledge that's often difficult to discover.

Marks, notations and other marginalia present in the original volume will appear in this file - a reminder of this book's long journey from the publisher to a library and finally to you.

### **Usage guidelines**

Google is proud to partner with libraries to digitize public domain materials and make them widely accessible. Public domain books belong to the public and we are merely their custodians. Nevertheless, this work is expensive, so in order to keep providing this resource, we have taken steps to prevent abuse by commercial parties, including placing technical restrictions on automated querying.

We also ask that you:

- + *Make non-commercial use of the files* We designed Google Book Search for use by individuals, and we request that you use these files for personal, non-commercial purposes.
- + *Refrain from automated querying* Do not send automated queries of any sort to Google's system: If you are conducting research on machine translation, optical character recognition or other areas where access to a large amount of text is helpful, please contact us. We encourage the use of public domain materials for these purposes and may be able to help.
- + *Maintain attribution* The Google "watermark" you see on each file is essential for informing people about this project and helping them find additional materials through Google Book Search. Please do not remove it.
- + *Keep it legal* Whatever your use, remember that you are responsible for ensuring that what you are doing is legal. Do not assume that just because we believe a book is in the public domain for users in the United States, that the work is also in the public domain for users in other countries. Whether a book is still in copyright varies from country to country, and we can't offer guidance on whether any specific use of any specific book is allowed. Please do not assume that a book's appearance in Google Book Search means it can be used in any manner anywhere in the world. Copyright infringement liability can be quite severe.

### **About Google Book Search**

Google's mission is to organize the world's information and to make it universally accessible and useful. Google Book Search helps readers discover the world's books while helping authors and publishers reach new audiences. You can search through the full text of this book on the web at <http://books.google.com/>

slav 7124.2.20

HARVARD COLLEGE LIBRARY

Bought with the income of  
**THE KELLER FUND**

---

Bequeathed in Memory of  
JASPER NEWTON KELLER  
BETTY SCOTT HENSHAW KELLER  
MARIAN MANDELL KELLER  
RALPH HENSHAW KELLER  
CARL TILDEN KELLER



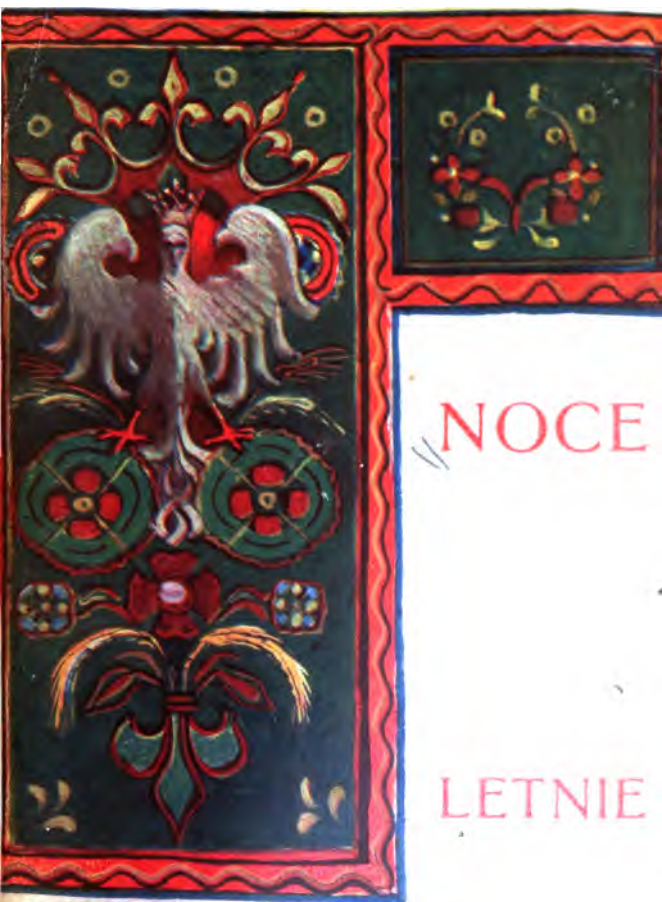








*copy*  
WŁODZIMIERZ PRZERWA-TETMAJER.



KRAKÓW. NAKŁADEM KSIĘGARNI D. E. FRIEDLEINA.  
Z Drukarni Literackiej pod zarz. L. K. GÓRSKIEGO.





NOCE LETNIE.



WŁ. TETMAJER.



# NOCE LETNIE



KRAKÓW

NAKŁADEM KSIĘGARNI D. E. FRIEDLEINA

1902.

Slav 7124.2.20

✓



Kelli;

---

Z Nowej Drukarni Jagiellońskiej w Krakowie  
pod zarządem L. K. Górskiego.

# WIGILJA W OBOZIE

URYWEK ZE STAREGO PAMIĘTNIKA

I. M. P. STANISŁAWA .....

TOWARZYSZA CHORĄGWI PANCERNEJ.

Z oryginału przepisał

WŁODZIMIĘRZ TETMAJER

w Bronowicach 26. XII. 1896





*Anno Domini* 16 . . z Bożą pomocą, wigi-  
liyną noc, iako prawemu żołnierzowi przystało,  
spędziłem pod chorągwiami.

— Markotno się po prawdzie widziało, iako  
że to człek od małego, społem z rodziną y do-  
mownicy, w dniu tym świętym, opłatek dzielić  
był zwyczajny, y z przyjaciółmi się uweselić, —  
ale Oyczyzna dom nam wszystkim wspólny,  
iedno większy od własnego dworku, a Rzecz  
Pospolita, matka najmileysza.

— A zima wtedy, okrutnie się srożyła w tym  
roku.

— Staliśmy kwaterą w Sandomierskiem wo-  
yewództwie w S . . . . . miasteczku nieszpętnem  
y cale wesołem, gdzie też y Pan Regimentarz  
był ściągnał na święta godnie y pułkownicy,  
y towarzystwa sporo z pod innych znaków, co  
po wsiach leże miały.

— Wszelakoż, mało takiego trafił, co by był y okolicy nieświadom, y braci okoliczney nieznajomy, a już Pan Regimentarz a starszyzna, zgołaby y czasu nie mieli, by onym wszystkim zaprosinom, a biesiadom, a łowom, na iakie *invitationes*, — choć czasu woyennego to było — otrzymywali zewsząd, y wszystkich życzliwych usatisfactionować.

— Jedno mnie, a towarzysza mego Pana Iana, nie znał nikt, ani my też kogo.

— *Primo*, żeśmy z odległego pochodzili woyewództwa, a *secundo*, iako nie bardzo possessionati, z onymi, co pełne trzosity mając, wszelakich życia doczesnego uciech *in pleno* używają, nie bardzo się kwapili towarzyszyć, to nam srodze na sercu leżało, abyśmy w okazji iakowey, za chudopachołków, albo zgoła mizeraków poczytani nie byli.

— Wołam tedy Wawrzka, luzaczka mego, którego mi był Rodzic mój, na tę potrzebę mię wyprawuiąc, do boku przydał.

— Tego Wawrzka okrutnie miłowałem, bo chociaż chłopski był syn, wszakoż animusz u niego był iście szlachecki, a iako to powiadają z kośćcami dobre człopczyisko było.

— Że się to ze mną y z bracią moją chował chłopięciem, y w krotochwilach a zabawach



naszych *pars magna semper fuit*, więc też w onych rycerskich zabawach z młodu srodze zasmakował.

— *Tandem* czy to w palcaty czy szabelką się próbować, czy szaraka zgonić na żrebicy — umiał wszystko a cale nieraz lepiej od nas.

— Mawiał tedy rodzic mój, że w chłopcu tym animusz siedzi szlachecki i że *certissime* mylnie powiadają, iakoby szlachcic z inney ule pion był gliny a chłop zasię z inney.

— Wszakci Piast rodu królewskiego proto-plasta chłopem był, a potomkowie iego w królewskiej zacności y maiestacie chadzali, a rycerskiego animuszu y cnót wszelakich dawali *exemplum*.

— Tedy *non aliter* być musi ieno, że szlachta polska z chłopstwa wyszła, a oni poddani nasi *nihil aliud* ieno starszą naszą bracią być się zdaia.

— Tak reflektuiąc rodzic mój oney dla poddanych srogości wrogiem był y zgoła w pogardzie ich nie miał.

— A że wioszczyna była mizerna, nieledwie zaściankowego szlachcica siedzibie równa, tedy i my pługą się imać albo i broną włóczyć musieliśmy iako chłopci a przy której robocie Wawrzek okrutną nam był pomocą.

- Skoro tedy usłyszał z ust Rodzica mego, iż postanowiono było, abym się pod chorągwie zaciągnął, iąłem się Oycu kłaniać, a za kolana obłapiać a prosić, aby mi, ieśli by na luzaczka stać nas było, nie inszego, ieno Wawrzka przydał.

— Co też i Matusia próśby swemi poparła, dodając: Przystań Iegomość, boć chłopca tego znamy, iako dobry iest y animuszu pełen, a Stacha naszego srodze miłuię, to przy okazyey iakowey snadnie mu pomocą być może, a co dwie szable, to nie iedna.

— Ofuknął się zrazu Oyciec, mówiąc: a Ieymość mi raczey kur pilnuy i grzędę, a dziewczkami komenderuy, a co rycerska rzecz, to nie babska na to głowa.

— Ale jeno dla tey przyczyny rzekł Oyciec, żeby *decorum* zachować, iako panem iest małżonki swoiey w domu, co zawsze bywało, gdy na matczyne żądanie przystać miał.

— Zaraz też kazano Wawrzkowi do drogi ze mną się sposobić, żrebicę mu dano, którą sam był uieździł i oto teraz masz nas tu obu Panie Boże *in castris*, iako Wola Twoia była.

— Radziliśmy tedy z Wawrzkiem o onych cyrkumstancyach, w jakowych Pańskich Narodzin świętą rocznicę obchodzimy.

— „Wawrzek“... rzekę... „markotno mi samemu dzisiay... a co tam w domu, yako się też frasować muszą, gdy mieysc parę próżnych ostało u stoła“... — bo, czasu potrzeby y bracia moi dway starsi pod chorągwiami stali.

— „Paniczu miły“ — rzecze Wawrzek — „a mnie to za starą matką y chałupą y za wsią mi markotno, abo mi to nie markotno, że legomości dzisiay za nogi nie chyczę, ani Ieyomości? Kto też ta za mnie snopy im ustawi po kątach, abo kopy żytnie uwiye?“

— „Ale mi wstydno, Paniczku miły, przyznać się do turbacyey moiey, bo Panie wiesz, iako powiadali Iegomość, że Rzeczpospolita dom nasz naypierwszy, a skoro płonie strzecha na nim, to pierwey nam większą ratować siedzibę, a potem własną chałupę“.

— „Powiadali, że gdy chałupa zgorzeie, to pogorzely mizerne będą iako wróblowie y insi ptacy niebiescy, co ani sieją, ani orzą, a Pan Bóg przecie o nich pamięta, iż się nie poteraią, a niech zgorzeie, powiadali, Rzeczpospolita, to gdzie się wszyscy podzieiewa?“

— „Przecie tak nieraz powiadali Iegomość“.

-- Zdumiałem się na takie *dictum*, iż w chłopskich uścich było y na taki ku Rzeczypospolitey w chłopskiem sercu *ardor*; y w gardle mi

ścisnęło y rzekę: „Wawrzek, szlachecki w tobie animusz y serce, chociaż nie szlachcic, iako byś mi bratem był“.

--- A po chwili: „A biegay no pana Iana prosić, on też z luzakiem samowtór w kwaterze siedzi, to razem noc przesiedzim, aż do pasterki, a rażno!“

--- Ieszczem ci tego nie domówił, aż brzękły w sieni ostrogi y pan Ian wstąpił do izby stroyny i rzecze: „Wstaway Stachu, a chodź szabelkę przypasawszy, bo *occasione data* po staremu na sianie za stołem wieczerzę spożywać będziemy“.

--- „Iakże to?“ pytam. --- Odpowie:

--- „Okrutnie suplikował szlachetka, ten co u niego kwaterą stoię, iżbym mu despektu nie czynił, a siadł z nimi do wigilyney wieczerzy, a nie dał odporu, ażem mu obiecał, iż cię też przywiodę. --- Chodź waść żywo, a Wawrzek też niechay zdąży za nami, bo y mój luzak w czeladney izbie u nich siedzi. --- A ta Anusia, wiesz naystarsza, gładka panna, prosić też kazała“.

--- Rozumiejąc tedy, że osobliwa yest to ła-ska Boska nademną mizerakiem, co żywo się ogarnąłem, a że mi Pan Ian Anusię ową wspomniał, którąm był nieraz na ulicy w miasteczku uważał urodziwą wielce panną, więc aby się

przed białogłowami nie chudziną, a rycerzem okazać, pancerzyk lekki paradny przywdziałem y szabłem przypasał ozdobną zygmunówkę, która po dziadku Matki moiej, mnie się była dostała.

— A że to czasu wojennego zwyczajnie miasto kołpaka hełmy wdziewaliśmy, zwłaszcza *in castris*, więc na koń siadłszy, iedziemy strojno y zbrojno — po rycersku.

— Szlachetka był szaraczek, Błoński *quidam*, co w miasteczku dworczyneę posiadał, y połowę domu Panu Ianowi na kwatereę był ustąpił.

— Ale człek był widno rycerski, kleynotu zacnego, y iak się okazało, nieraz prochu powąchał. — Srodze tedy rad był, rycerze ugościć. — Rekomenduie mnie tedy Pan Ian Iemu y Iejmości y Pannom. — Gdym się przed oną Anusią grzecznie po rycersku skłonił, w ostrogi brzęknąwszy, uważylem, że spłonęła iak wiśnia, com na karb modestyi panieńskiej policzył. -- Okrutnie bo gładka była dziewucha, a oczyma niebieskiemi iak spojrziała, to ci owo spojrzienie przez pancerz przeszło w serce, gorzey kuli szwedzkiej.

— Siadamy ano do stoła. — Usadowiono mnie przy pannie, a Pana Iana naprzeciw przy drugiej.

— Ale żem nie w ciemię bity, uważałem, że mi Pan Ian się kręcił y oczywiście rad by był przy pannie Annie siedział, ale że nie rzecz było inaczej ieno na wskazane siadać mieysce, by zaś gospodarstwu despektu iakowego nie uczynić, więc siedliśmy.

— A taką nadobną przy stole towarzyszkę mając, iżbym to iako prostak nie siedział, ięzyka w gębie zapomniawszy, rzekę iednego razu:

— „Chociam żołnierz, Mościa panno, wszakże, co mnie nigdy w szeregach stojącego, gdyśmy Szwedom psubratom w lufy muszkietów patrzali, strach iako żywo nigdy nie zdyął, to dziś, tutaj przy Waszmość pannie siedząc, tchórzem się sam podszyty poznawam“.

— A panna Anna: „Czemuż to, Mości kawalerze? czylim ia nieboga straszniejsza albo szpetniejsza Szweda?“

— A ia z ardorem: „Mościa Panno! nie groźny mi Szwed ni Tatarzyn brzydki, ale Waćpanna tak nadobnie oczkami siwemi patrzysz, żeś mi tem patrzeniem pancrzyk przeszyć gotowa y w serce ustrzelić“.

— Panna Anna, madrygałów nie zwyczajna widno, raka spiekła na iagodach, a pan Błoński rozweselony rzecze: „Dworny z Waszmości kawaler, mości rycerzu, y widno nie ieno Szw-

dom straszny, ale y wedle podwiki zachodzić umiesz niezgorzey!

— Zaczem wesołości końca nie było, ale spoyrzę ia na Pana Iana, a iemu chmura iakowaś zwisła po nad brwiami. — Rozumiałem, że może ku Pannie, dawniey iuż z nią znajomym będąc, afekt iakowy żywi i dałem pokój koperczakom. — Wszelako raz zacząwszy, nie czas było z grzečnością kawalerską do iamy się chować iako lis, a wyexplikować się Panu Ianowi nie mogłem, chyba po wieczery.

— Ale skoro po wieczery, gospodarz kolendę zaintonował, ięliśmy wtórować poklękawszy, a ia zasię, gdy słucham iako nadobnym dyskantem Anusia rytmy wynosi y spuszcza łagodnie, to mię tak coś po sercu głaskało y taka mi się ta dziewczka nadobna wydała, iako aniołkowie w zamkowym kościele w Krakowie mi sternie rzezani y w szatach słonecznych, tak, że ubogiej sukienzyny rąbek byłbym całował, bo mi się szatką na niey zdała gwiazdolitą. — A tu mi sumienie mówi: Pana Iana ty krzywdzisz, dziewczkę mu odbiyasz... y *anceps* okrutnie chwili wyczekiwałem, gdziebyśmy z Panem Ianem do słowa przyjść mogli.

— Skorośmy tedy śpiewanie zakończyli, szable przypasali ku powrotowi się kwapiąc, a po-

żegnawszy wszystkich i podziękowawszy, przed ganek wyszli, mówię Panu Ianowi, żebym rad był wielce, ieśli by mi zechciał do moiey kwatery kompaniey dotrzymać.

— Odpowie: „Ia to właśnie z tobą gadać chciałem, otom kazał osiodłać wronego“.

— Więceśmy siedli na koń.

— Noc iasna była, więc co poyrzę, a Pan Ian chmurny.

— Iedziemy samotrzeci z Wawrzkiem, a milczymy.

— Na dobre staianie ode dworku ozwę się:

— „Czegoż to Waść chmurny, Iasiu?“

— Dopiero pan Ian:

— „Zradziłeś mnie Waść, rzecze, — iam o Tobie myślał, maiąc swój frasunek y tęsknotę do rodzinnego domu, y z radością biegłem do Ciebie, by Cię do zacnego domu przywieść y uweselić, a Waść mi taką *gratitudine* zapłaciłeś!“

— „Iakże to Panie Ianie, odpowiem, co Waszmość rozumiesz, a to ia właśnie przełożyć Ci chciałem, iżbyś mnie za tak złego nie poczytywał!“

— „Nie wykręcaj się Waść“, zakrzyknie Pan Ian, „chyba bym ślepym być musiał, żebym waścine koperczaki przeoczył. Wiedz że Waść, że mi iest miła ta Panna i wara Ci do niey!“



— Na to mnie złość porwała sroga y już o ekuzach nie myślałem więcej, ienom konia ściągnął y główni szukam. „Boga mi!“ krzyknę, „iakoż żyw nie chciałem Cię ukrzywdzić, ale skoro mi Ty krzywą twarz ukazujesz, widzę okazyey szukasz“.

— Skoczył Wawrzek y przypadł, wołając: „Iezus Marya! Paniczku! daycie pokóy!“

— „Na bok“, wrzasnę, „wara ci! między rycerze!“

— A Panu Ianowi też oko płomieńmi rozgorzało y dobył szabli.

— Już byśmy się byli starli, ani na święty dzień bacząc, ani przyiaźni pomni, aleści Najświętsza Panna Częstochowska, właśnie od Szwedów na Iasnej Górze oblężona, snąc waśni pomiędzy Swoim rycerstwem dopuścić nie chciała, bo oto niespodzianie zaszło *evenementum*.

— Ledwie nam szable w rękach błysły po miesięcznym blasku, aż tu za nami, gdzieś wedle dworku Błońskiego strzelono z paru bandoleatów, poczem usłyszeliśmy iakoby wrzawę bitwy.

— Co prędzey obróciliśmy konie, nieledwie zapominając, iż właśnie sami na siebie do szabel się porywamy, a Wawrzek, który był trochę konia spał, by zbliżka wyrzeć, co by było, przypada, wołając: Szwedzi, Szwedzi w mieście!

— „Iezus Marya! Anusia!“ wrzaśniemy oba z Panem Ianem y iuż nas niesą konie cwałem ku oney strzelbie.

— Co się daley działo nie pomnę, bom się był strachem o Błońskich dom przeięty, wmięszał w tłum, ino patrząc, czy gdzie wleczoney od raytara nie ujrzę panny. Zastawił mi drogę raytar, tnę go przez wąsy, spadł.

— Lecę daley z furją srogą.

— A tu Pan Ian koło mnie cwałuje, a Szwed w żółtym kolecie rapierem go bodzie.

— Zaiechałem go, iak machnę na odlew spadła ręka z rapierem.

— Aliści czasu nie było gadać, bośmy iuż pode dworkiem byli, a tam bitwa sroga.

— Skądciś paru towarzystwa się znalazło i przybyli nam w sukurs.

— Ale widzę, że się do bramy pchają Szwedzi y iuż ich wewnątrz widzę. Serce mi zamarło od niepokoju, a tu muszę sobie naprzód drogę do ganku przez raytarów wyrąbać.

— Aż tu naraz pchną mię raytary końmi i poczną się cisnąć wedle mnie ani rapirami kłuiąc ani tnąc, ieno srodze wrzeszcząc. Tumult się uczynił, a w ulicy słyhać naszą trąbkę y wołanie „Iezus Marya“, iako zwykle husarya, kiedy ławą idzie.

— Alem się ieszcze ruszyć nie mógt, ienom się z koniem do ściany przyparł, bo wedle mnie całą ulicą, iaka szeroka zajmując, przeleciała iak wicher husarska chorągiew.

— Ienom przy świetle miesięcznem widział ławę kopii, chmurę proporców y skrzydeł y słyszał szum, a szczęk, a wrzask, a tentent...

— Jak przelecieli, tak się cicho stało y przestrono, więc skoczę z konia y do ganku.

— Aliści tam stękaią iuż ranni na ziemi a w sieni iuż towarzystwa kupa y latarniani oświetlono. Aż pan Błoński ze szablą w rękę y latarnią dopadł do mnie y woła: „Żywiesz Waść!“... chodź do izby!“ — Wejdę nie mieszkając ieszcze z gołą szablą w dłoni. — Spoyrzę, aż na ławie pod ścianą leży mój Wawrzek rozciągniony w znaczki, a nad nim panna Anna y leymość pani Błońska, wino mu z flaszki leją w gardło. — Zakrzyknę: „Bogu dzięki całście Wasze Moście! — a Wawrzek, zali zabit?“ Przy padnę ku niemu, a on ieno mgławie iuż oczy na mnie obrócił y rękę wyciągnął.

— „Wawrzek“ — mówię — „co ci?“

— Rzecz IMpani Błońska: „Iuż on, mości rycerzu, z Panem Bogiem dziś do wigilii siędzie, srodze go poturbowali, póydzie naszym błogosławieństwem na drogę zaopatrzon, bo mi dzie-

wkę Szwedom z rąk wydarł y starego mi obro-  
nił y mnie zastawił y za nas to wszystkich go  
usiekli y postrzelali!“

— „Wawrzek“, krzyknę, „synku mój miły,  
a źle ci to? gdzie rana?“...

— Opatruję go, ale kulami przeszyty wiele-  
kroć y skłuty srodze rapirami, a krwi kałuża  
pod nim na podłodze.

— Ieno wyszepnął: „Paniczu! strzechym  
bronil na Oyczyźnie płonącey... y ludzi dobrych...  
y dziewczki waściney... bom widział... iako...“

— Nie mógł więcey y mowę zamknął, bo  
mu się oblicze bladeścią powlokło, ino ieszcze  
„Iezus Marya“ szepnął y skonał.

— Stałem iakoby słup, zimną rękę iego  
w swoiey dierzząc y ani mi Szwedzi byli w pa-  
mięci, ani Panna Anna, ani bitwa co trwała  
w ulicach, taki mię srogi żal zdyął, bo mi bra-  
tem był Wawrzek y iako rycerz zginał.

— Aż mię trąci Pan Ian, mówiąc: „Chodź  
Stachu, potem umarłych płakać, teraz ieszcze  
na koń!“

— Więcem tylko na kolana padł przed Iey-  
mość Panią Błońską y przed Panną y ręce im  
całuję y proszę:

— „Pochowaycie mi go uczciwie — Bóg  
wam zapłaci...“

— Do trupa jeszcze przypadnę y ryngraf z piersi zdeymę... w sinem ręcem włożył ryngraf z Matką Boską...

— „Śpiyże, śpiy druhu... śpiy pod rycerskim znakiem... boś lepszy rycerza...”

— Iużem więcey nic rzec nie mógł... inom go ieszcze uściskał... towarzysza dobrego...

— Będą! ci go będą! płakać rodziciele moi!...

— Ieszczem się we drzwiach obrócił, y widziałem iako nas odchodzących błogosławią starzy Błońscy, a panna iako płacze.

— Za chwilę iużeśmy resztki szwedzkich raytarów po miasteczku doganiali.

— Aliści iuż się z konia nie zsiadło, ieno żeby zbroję wdziać y do szeregu stawać, bo iuż alarm się zrobił y trąby wezwały pod broń.

— Iakośmy potem się wywiedzieli, były to przednie straże szwedzkie, luźne czaty, które miasteczko w chwili wigiliyney wieczery spokoyne poczuwszy y iakoby uśpione, a wiedząc przez szpiegi, że komenda po dworach okolicznych ucztować może, (co y nie było, bo Regimentarz w odwodzie onę chorągiew husarską przy koniach trzymał), splondrować chcieli miasto. Nie było iednak wielu tych zuchwałców, y tę hołotę wysiekliśmy. — Ale iuż skoro dzień zaświtał, staliśmy w ordynku y ruszyli,

bo ordynanse przysły od hetmana, aby chorągwie nie zwlekając wyszły z miasta.

— Jedno się przed farnym kościołem zatrzymywały chorągwie, aby w pierwsze święto Bożego Narodzenia, choć błogosławieństwo kapłańskie otrzymać, bośmy się przy tem wielkiem święcie do śmiertelnego sposobili tańca. A koło mnie strzemię przy strzemienu iechał Pan Ian.

— Milczeliśmy oba z razu, aż gdyśmy się sobie w oczy wzajem spojrzeli, tedy nam ieno łzy się zakręciły y dłonieśmy sobie uściskali milcząc.

— Anim iuż tedy nie obaczył więcey ani Wawrzka biedaka, ani Anusi.

— Y tak iadę smutny reflektuiąc. A właśnie woysko śpiewało pieśń o Pańskim Narodzeniu, a z miasta dolatywało nas ieszcze dzwonicie w mnogie dzwony.

— Y zdało mi się w tem zamyśleniu, jakoby widział pasterzy ubogich, a ieden między nimi to Wawrzek, niebożę...

— A Anyoł boży, z obliczem iakoby Anusinem, nowinę im słodką zwiastuie, a wzywa, aby oni pierwsi, zanim zdążą króle ziemscy, króla nad królami powitać bieżeli. — A gdy ich Król-Królów, w mizerney staience do boskiego

łona tulił rączkami małemi, rzecze mi iakoby Anyoł boży z Anusinem obliczem promiennem...

— „Zali, mości towarzyszu, nie warci oni tego?”

— „Zali nie godzien był Wawrzek, co iako rycerz za Oyczynę poległ, zali nie był godzien, aby go ta Oyczyzna-Matka do serca tuliła, iako dziś Chrystus-Dziecina pasterzy?”

— „Zali nie był godzien tego, chocia kley-notu nie posiadał?”

— „Zali by źle z tem było Rzeczypospolitey-Matce?...”

— „Zali by za dzieci mając y iako dzieci miłując tych poddanych, pogardzonych pasterzy, nie byłaby Rzeczpospolita-Matka mogła, w onych dzikich czasiech, przeciwstawić Chmielnickiemu y czerni kozackiey setek chorągwi pastuszych?”

— „Zali dobrze czynicie, nie pozwalając chłopstwu być dziećmi Matki, nie pozwalając im ginąć za Matkę?”

— Tak mi się zdało, że mówił anyoł boży...

— A woysko właśnie śpiewało:

— Czem' z bydlęty — nie z panięty  
na siankuś położony...

-----  
Reszty kart rękopisu brakuie...





# WITOLD PRUSZKOWSKI

WSPOMNIENIE POŚMIERTNE.



Na kształt gromu spadła niespodzianie na artystyczną drużynę krakowską hiobowa wieść o śmierci Witolda Pruszkowskiego. Koledzy zmarłego mistrza młodszy i starsi, bliźsi i dalsi gromadzili się, szukali się dnia tego nawzajem i wypytywali, czy to prawda, jak i gdzie się to stało. A lubo wszyscy wiedzieli o jego stanie i długoletniej strasznej chorobie, co pełen życia i siły organizm żarła, choć tragicznego jej końca w niedalekiej przyszłości oczekiwać należało, wieść jednak smutna, że Pruszkowskiego już nie ma pomiędzy kolegami, rozdarła wszystkim serca.

Bo też niezwykły to był człowiek. Genialny artysta, serdeczny przyjaciel i kolega, a jako człowiek, prawdziwy książę niezłomny. Co jednak jest uderzającym, że tego człowieka płaczą nie tylko koledzy, nie tylko przyjaciele i znajomi, którzy nieraz w sferach towarzyskich z nim się spotykali, cenili jego talent i wiedzę, jego prawą duszę, karmili swe umysły podziwianiem

pełnych dziwnego ognia i sentymentu obrazów — ale rzecz szczególna, tego malarza, tego artystę, tego o rafinowanym umyśle człowieka, płaczą siermiężni chłopci krakowscy, a echo smutnej wieści, że „malarz z Mnikowa już nie żyje, zasmuciło głęboko proste chłopskie dusze.

Trzeba jednak znać człowieka, aby ocenić głębokość żalu pozostałych, gdy go już zabraknie.

\* \* \*

Nie obcą mieszkańcom Krakowa była ta dziwnie piękna twarz o chłopskim typie, uszlachetnionym i wyrafinowanym, tryskająca niezwykłą inteligencją. Powierzchność zresztą oryginalna, strojna w burkę ukraińską lub czamarękę, w czapce baraniej, coś grottgerowskiego, coś, co epokę sześćdziesiątych lat przypomina, stanowiło wybitną jej charakterystykę.

\* \* \*

Skoroś się z nim rozgadał, zaraz uderzała cię jakaś tęgość, jakaś siła i wola, jakaś lotność umysłu Pruszkowskiego. To stopy ukraińskie, które go wypiaستowały, ukształtowały mu ten typ, urobiły duszę na duszę prawdziwą poety. Rodem był z Pobereża, w Odesie i Kijowie wzrastał i rozwijał się.

Kto zna życie artystów, którzy działali i wychowywali się w epoce powojennej, ten zrozumie łatwo ten typ.

A przyznać trzeba, że bogatą była ta epoka w ludzi, ona wydała Grottgera, Chełmońskiego, Pruszkowskiego, Maksą Gierymskiego. Witkiewicz jest ich towarzyszem, Piotrowski i zawsze uderzający typ powstańca, znany w Krakowie Benedyktowicz jest ich przyjacielem, a nawet starszy od nich wiekiem i zasługą w sztuce J. Kossak ma w sobie dużo tego typu.

Trzeba było jednak wdać się z Pruszkowskim w gawędę. Wtedy uderzał rozmawiającego fakt, że ten na pozór chłop rubaszny, ten porwoczy kozak stawał się w danej chwili rafinowanym Europejczykiem, synem starej kultury, która mu niezwykłą i subtelną dała inteligencję.

\* \* \*

W Paryżu i w Monachium, gdzie się kształcił, rozwinął tę inteligencję i nabył niesłychanie bujnej, wytwornej i misternej techniki, którą opanował do ostatnich granic możliwości, t. j. aż do tego stopnia, że stała mu się ona tak łatwym do wylania myśli sposobem, jak n. p. umiejętność stawiania liter dla pisarza.

Nie dziw też, że gdy się poetyczna i energiczna natura, wytworność i subtelność inteligencji i gruntowna wiedza złożyły, trzy te czynniki wydały tak doskonały typ artysty, jakim był Pruszkowski.

\* \* \*

Gdybyśmy, jak nie wiem już który z starożytnych ludów, wierzyli w metapsychozę, gdybyśmy pomyśleli dusze minionych ludzi w ciablach dziś żyjących zamieszkałe, toby trzeba było przypuszczać, że jeśli dusza tego Słowackiego, który napisał Anhellego, zamieszkała w Jacku Malczewskim, to dusza Słowackiego, twórcy „Balladyny“ i „Króla-Ducha“, Pruszkowskiego sobie za czasowe obrała schronienie.

Albo do innych uciekając się przykładów, przyznać musimy, że jeśli nieznanych już dziś imion twórcy fantastycznych Sagów niemieckich, ożyli w Schwindzie, jeśli dusze tych ludzi, którzy bali się cichego bóstwa strachu „Pana“, wypowiedziały się najjaśniej przez wielkiego Böcklina, to starosłowiańscy pieśniarze, dziady, co baśnią o Piaście i Popielu, opowieścią o dziwożonach i boginkach, co chłopców wiejskich kochały, straszący wiejskie kobiety, te dziady poetyczno-fantastyczne swe dusze Pruszkowskiemu przekazali spuścizną.

Wygnańców, co „przyszli na ziemię sybirską“, Ellenai konającą w śniegowej chacie, smutne reny sybirskie, odczuł Jacek Malczewski tak głęboko, jak sam Słowacki. Jak sam Słowacki zgorzkniał na widok typu zbira i zrozumiał mękę przykutych do taczek, do ojczyzny tęskniących rycerzy.

A blask zorzy borealnej, a czarodziejską tajemniczość lasu, w którym siostra zabija siostrę, Böcklinowski jakiś kolor tego tła, opary w drżącą zasłonę otulającą zadumany księżyc nad jeziorem Goplany, widział Pruszkowski tak barwnie, tak wyraźnie, jak sam Słowacki.

\* \* \*

Trzeba stanąć przed obrazami takimi, jak „Rusałki“, jak „Nimfy wodne“, „Wiosna“, „Madej“, „Sielanka“. Czujący widz, mimowoli przypomina sobie, że gdzieś kiedyś doznawał już tego, a przynajmniej podobnego wrażenia i uczucia. I rzecz prosta, bo kto zna „Balladynę“ Słowackiego, stanowczo ten sam rodzaj odczucia natury, to samo poczucie fantastycznej poezji polskiego pejzażu odnajdzie w Pruszkowskim.

Wszakżeż po tym lesie, gdzie wrósł stary pokutujący zbójca w drzewo i obrósł mchem

brodatym i zielonymi porosty, gdzie tajemniczy jakiś ksiądz święty przychodzi z głębi gąszczów zielonych ze słowem pociechy dla grzesznika Madeja, po tym lesie śmiało mógłby przechadzać się Grabiec i stać się wierzbą, mogłyby błądzić Alina i Balladyna.

Genjalny Böcklin wycisnął tu jednak piętno na duszy artysty. Mimowoli przychodzi też na myśl „Pustelnik“ w galeryi grafa Schacka w Monachium. Coś tu jest podobnego w sentymencie, ale różne są te dwa obrazy. W „Pustelniku“ Böcklina czuć duszę germańską, która niegdyś swych strasznych bogów morderczych bać się musiała i las ten straszny, okropny i kruki w koło klęczącego pustelnika latające, mają wyraz jakiś beznadziejny, przygniatający.

Czarodziejski las Pruszkowski jest lasem, w którym nie Wotan, ani Walkyrje, ale jakieś rzewne, a trochę dzikie, zadumane jakieś i smętne bogi słowiańskie mieszkają. Coś takiego prasłowiańskiego ma w pojęciu, rodzajowy (?) na pozór, raczej do tak zwanych, nie wiem dlaczego, „rodzajowych“ obrazów zaliczamy obrazek nazwany „Sielanka“. Tło — to fiolet nieba, na którym błyszczy sierp księżycy na nowiu i gaj wierzbowy, na tem dwie jasne plamy, chłopak w sukmanie i kapeluszu sło-



mianym, i dziewczyna u jego stóp zasłuchana w piosenkę, którą on wygrywa na fujarce.

Ot zwykła sielanka typowa, a jednak, czy to sylweta chłopca to robi, czy kolor i ton pejzażu, fakt jest, że chociaż oboje ubrani są w dzisiejszy strój chłopski, obraz ten robi wrażenie, jak gdyby treść jego zaczerpnięto (mówiąc po literacku) ze starosłowiańszczyzny, jak gdyby go poczuło (mówiąc po malarsku) z sentymentem starosłowiańskim.

Już to nikt tak nie umiał upoetyzować takiego motywu malarskiego, jakim jest chłopak wiejski w snkmanie, jak właśnie Pruszkowski. Dość spojrzeć na jego rysunek, w którymś z numerów *Świata*, przedstawiający pastuszka łakiego — cóż za dziwne poetyczne pojęcie! Aby tak zrobić chłopca wiejskiego, trzeba mieć ak prastawiańską duszę dziada pieśniarza fantastycznego, jaką miał Pruszkowski. Taką też łuszę mieć trzeba, aby stworzyć takie dzieło, ak „Zaduszki“ lub „Rusałki“.

Ale znowu trzeba być Słowackim, żeby „Unitkę“ namalować umarłą pod razami zbiów, znaczącą krwią wyrazy *Pontifex maximus...* ia tle śniegu i sterczącej w jaskrawej zorzy erkwi. Trzeba na to być Słowackim, jak ten,

który malował straszliwej siły rapsody Króla-Ducha.

\* \* \*

Nie miejsce tu na krytykę działalności Pruszkowskiego. — Ale, aby zrozumieć żal przyjaciół, gdy umrze malarz, trzeba mówić o jego obrazach, bo obrazy, to dusza i serce malarza. Jakim był w obrazach, takim i w życiu. Jak czuł tak malował, a jak malował tak żył: to jest pięknie, doskonale i szlachetnie.

Jeżeli w dziełach swych zdradzał niepospolitą siłę i lotność, w życiu był to charakter silny i lotny umysł. Znany ze swego słowa niezłomnego, jak niegdyś Czarny Zawisza, czczony za nieugiętość swych zasad, kochany dla swych cnót i serca, poszukiwany w towarzystwie wykwintnych umysłem ludzi, dla swej wytwornej inteligencji — ulubiony i umiłowany przez chłopów, wśród których mieszkał w Mnikowie, znany w całym powiecie, i opłakiwany dziś w tylu wioskach.

Bo Pruszkowski jak w obrazach z miłością malował „modela-chłopa“ tak w życiu z taką samą miłością do „człowieka“ się zbliżał. Mieszkał wśród nich, „żył z nimi i cierpiał z nimi, nigdy mu kto szlachetny,

nie był obojętny". Bo artysta prawdziwy czuje za głęboko, aby miał inaczej działać niż czuje i innym być w obrazach, a innymi w życiu.

A jeśli kto był prawdziwym artystą, to chyba Pruszkowski! To też czuli to koledzy i doprawdy nie zawsze znaleść kogoś, któryby tak powszechną posiadał ich miłość, jak Pruszkowski, tak bezsprzecznym otoczony był szacunkiem. Odtąd zamieszkał w Krakowie, to jest mniej więcej od chwili objęcia Szkoły sztuk pięknych przez śp. Mistrza Jana, zawsze cieszył się ową czcią i sympatyą kolegów. — Zdanie jego wazono wielce, bo był to człowiek, który nawet gdy się uniósł, to nigdy przeciw osobiści, ale zawsze tylko zasadę zwalczał.

Jeżeli szło o sprawę ogółu kolegów, o rzecz publiczną, lub o któregoś z pośród malarzy, tam Pruszkowski zwykł był brać inicjatywę do dobrego czynu, który z zaparciem się siebie samego i dziwną skromnością wykonywał, lecz równocześnie ze zwykłą żelazną konsekwencyą i wytrwałością, posuniętą do uporu, przeprowadzał do końca. Znane są jego zasługi, choćby tylko wymienić pomnik dla Grotgera, którego wzniesienia nie dożył.

\* \* \*

A naród?... Naród stracił w Pruszkowskim jedną z tych gwiazd, co, świecąc jasno, przypominają światu, że: „jeszcze nie zginęła“, stracił jeden ze swych świeczników. Ale nadewszystko naród stracił prawdziwie miłującego kraj obywatela. Pruszkowski był patriotą do szpiku kości, do fanatyzmu posuwał swą miłość dla ojczyzny, dla polskiej mowy, dla polskiej przyszłości. Była to jedna z tych natur, co bez wahania zdecydowałyby się ponieść śmierć męczeńską w obronie umiłowanej idei.

Konsekwentnie też i zgodnie z tem przekonaniem swoim żył Pruszkowski, a żelazny jego charakter dawał zupełną rękojmię, że w razie danym on przed wszystkiemi poparłby czynem teorię.

Więc my, cośmy go znali, żegnamy go dziś z ciężkiem sercem, ze szczerą łzą bólu i żalu, ale żegnamy go z tem przekonaniem, że nikt nad niego nie jest godniejszym, aby na kamieniu grobowym wyryto mu nieśmiertelne rymy Słowackiego:

„Lecz wy, coście mnie znali, w podaniach przekażcie,  
„Żem dla ojczyzny sterał moje lata młode,  
„A póki okręt walczył, siedziałem na maszcie,  
„A gdy tonął, z okrętem poszedłem pod wodę“.

Bronowice małe, 12 października 1896.

**Z POWODU WYSTAWY  
DZIEŁ JULIUSZA KOSSAKA.**

**CHARAKTERYSTYKA MALARZA.**





Nie trzeba podobno dowodzić, że jakiegokolwiek na rozwój sztuki wpływały prądy, jakiebykolwiek tworzyły się szkoły, powstawały kierunki, to zawsze treścią rzeczy jest talent i indywidualność, osobista odrębność artystów.

Bo prądy płyną i przepływają jak rzeka, ich sile dają się porywać słabsze, mniej wybitne jednostki i giną w zapomnienia fali.

Ale sztukę stanowią ci, co nie idą z prądem, ani też z nim walczą. Sztukę „robią” i naprzód pchają ci, co nie ze wszystkimi razem, lecz własną swoją wędrują ścieżką.

Tych widać zawsze, bo idą samotni, tamtych nie znać, bo nie są ludźmi, a tylko tłumem.

Ci samopas idący, dążą wprawdzie własną, do własnego celu drogą i tworzą własny typ, ale żyjąc w danym kraju, będąc dziećmi danego

narodu, nosić muszą w duszach część duszy tego narodu, w zewnętrznej swej postaci posiadać wspólność rysów swej wielkiej rodziny.

Czyny ich, i to, co po nich narodowi zostanie spuścizną, jest to wyraz duszy narodu, który oni silniej od innych wypowiedzieć, wyraźniej w postać widzialną przyodziać umieją.

Jak człowiek ma swą twarz, tak ma ją i naród, a jego członkowie artyści, twarz tę wyobrażają.

I tylko tacy artyści są własnością wielkiej kosmopolitycznej, wszechświatowej sztuki.

Pojęcie: że sztuka jest kosmopolityczną, opierać się winno tedy nie na zasadzie, jakoby Europejczykiem w sztuce był tylko ten, co jest do mistrzów włoskich, niemieckich lub francuskich podobnym, lecz na pewniku, że do sztuki świata należy ten, co własną indywidualnością typ swojej ziemi i swego narodu twarz przedstawia.

Sztuka wielka, kosmopolityczna sztuka świata, jest zbiorem najodrębniejszych typów.

Michał Anioł, Tycyan, to zupełnie różne typy, ale obaj przedstawiają sztukę jednego narodu. Dürery, Holbeiny, Wohlegemuthe, Rembrandty, Halsy, Rubensy, Bastien-Lepaye, Bonnaty, Puris de Chavannes'y, wszystko to zbiory różnych indywidualności, składających się na



jeden wspólny typ sztuki włoskiej, niemieckiej, holenderskiej lub francuskiej.

Wpływy zewnętrzne, cywilizacyjny wpływ narodu, wyprzedzającego w rozwoju inne, działa na inne narody. Rozbudza w nich chęć postępu i do czynu podnieca.

Masy słabszych idąc z tym prądem, zarzucając własną maskę, toną w tym ruchu bez wieści — silni biorą z niego co dobre i na tem sami własne budują dzieła. Nasza sztuka własną twarz, typ własny przybrała niedawno.

Od niedołęznego w wyrażeniu się Stachowicza, od Stattlera naśladowcy Kaulbacha i Corneliusa, od Lessera, który jest powtórzeniem De la Roche'a, jakież nagły skok do tych największych naszych, do twórców sztuki polskiej.

W jednym czasie, w połowie stulecia wychodzi na jaw cały szereg wielkich malarzy, samodzielnych indywidualności, które składają się na ogólny typ polskiego malarstwa.

Bez poprzedników, bez duchowych ojców, stają nam na widowni Matejko, Grottger, Koszak, Max Gierymski.

Wszyscy oni nietylko samym przedmiotem treści obrazów są już malarzami na wskroś polskimi, ale pojęcie, odczucie natury i uczucie wlane w dzieło, jest na wskroś polskiem. Jakaś

połączona z zamaszystością, czy nawet barbarzyńskim rozmachem melancholia, jakiś właściwy zupełnie „sentymencie” jest wspólną ich cechą.

A jednak, jakżeż oni do siebie niepodobni!

Ogółem jednak wzięwszy całą ta plejada twórców sztuki polskiej ma jeszcze jedną wspólną właściwość.

Przyszli oni jakby po to na świat, aby taką Polskę, jaka do dziś dnia była, a jaką już nie będzie, Polskę tę dawną, z polskim typem i charakterem, z całą jej odrębnością jeszcze u wstępu do grobu złapać, za niknącą się obejrzyć i kształt widziany zakląć w formę dzieła sztuki.

Tę więc dawną Polskę historyczną, Polskę rycerską, Polskę szlachecko-kontuszową, Polskę żołnierską, Polskę odrębną od reszty krajów, pokazali nam ci malarze spuścizną, a ich obrazy są dokumentami — jak stare portrety pradziadków — jak to niegdyś wyglądała dawna Rzeczpospolita.

Polska dzisiejsza, i ta co przed nami jeszcze, ta wcale odmienna już, o bardziej kosmopolitycznym wyglądzie, i dlatego sztuka jej inną twarz mieć będzie.

Na przejściu jednak pomiędzy starą i nową stanął świeżo zmarły Juliusz Kossak.

Jeszcze on był synem starej zamaszystej, szla-

checkiej Polski — czuł ją i pamiętał i wspaniale wyrażał swą akwarelą — ale patrzył na nową, przed jego oczyma rosnącą. — Żywotny i zawsze młody nie zamknął się w skorupie. Szczery artysta kochał naturę i zawsze nią się odżywiał.

I w dzisiejszej szacie naszej ziemi widział skarby piękności, odnajdywał przekazane ślady i rysy dawnego typu.

Wszystkie te wrażenia przetrwał w swej na wskróś polskiej, zamaszystej, żołniersko-szlachecko-chłopskiej naturze, zabarwiał tą właściwą sobie poetycznością i robił ciągle i zawsze świeży, zawsze żywy i barwny, zawsze bardzo polski jakiś świat, na zawsze bardzo Kossakowski, a stojąc na przejściu pomiędzy „dawnymi a młodszymi laty“, łączył obserwację dzisiejszej natury z czemś dawnem, z czemś staroświeckiem, co w duszy jego spało.

Jego hussarze i pancerni, jego semenowie z wojen kozackich, mają dużo zacięcia — tego, co jest dziś w krakowskim druźbie, gdy wali konno z orszakiem weselnym, i na odwrót druźba ten ma w sobie coś z tego prześlicznego polskiego ułana, coś z legionisty.

Nawet wytworne postacie portretowanych konno magnatów w polskich mundurach, mają przy całej swej arystokratycznej wytworności

to szczeropolskie-żołnierskie zacięcie, z jakąś przymieszką żołnierskiej rubasznosci, którem Kossak umiał przyozdabiać swych krakowskich chłopów, swych kozaków i nawet swych sportowców w angielskich surdutach.

Jeśli kto, to Kossak był skończonym typem i jako taki robił typ.

Stworzył typ konia polskiego, stworzył pewien typ żołnierza, typ chłopca.

Wszystkie bardzo prawdziwe, nawskróś polskie, a wszystkie noszące bardzo wybitne znamię typu swego twórcy.

Tak niezmiernie polska dusza, jaka mieszkała w Kossaku, nie mogła innych wydawać dzieł — to też Kossaka każda rzecz jest prawdziwym dokumentem zewnętrznego wyglądu Polski jego czasów.

Jak starzy Holendrzy noszą wybitną cechę swego narodu i czasu, tak Kossak jest rzetelnym typem Polaka i zajmuje przez to tak ważną kartę w dziejach sztuki polskiej.

Gdyby jednak sama charakterystyka typu była właściwością Kossaka, byłby on tylko ciekawym, interesującym ze stanowiska archeologiczno-historycznego. Ale świeżo zmarły mistrz miał oprócz tego przymiotu jeszcze cały skarb poetyczności w swej duszy.

Poetyczność Kossaka, to też zupełnie polko-szlachecka poetyczność i tak dziwnie przypadająca do tej zawieszistej natury.

Wesoły, zamaszysty, serdeczny szlachcic łatwo ulega prawdziwemu rozrzewnieniu na widok chłopskich wózków i pocziwych zawadyackich twarzy parobków krakowskich.

Ciągną go i porywają te postacie; odnajduje w nich to wszystko, co spało w dawnym hussarzu i legioniście napoleońskim; malarz z bystrym spostrzegawczym zmysłem ocenia całą malowniczą stronę tych przedmiotów i widać to dziś na jego wystawie, z jaką rozkoszą maluje chłopskie sceny.

To też kilka obrazów z pobytu cesarza Franciszka Józefa w Krakowie, — kiedy to pojawiły się na błoniach chorągwie najprzedniejszej i najpiękniejszej kawaleryi narodowej, — bo setki konnych krakusów, są bezsprzecznie dziełami, w których znać, że w nie całą duszę włożył Kossak.

Kossak to najszlachetniejszy typ szlachcica, to szlachcic czujący i kochający polskiego chłopa. Jestto jednak tylko jedna z licznych stron jego twórczości, i jeśli o poetycznem pojmowaniu obrazu mowa, to niepodobna nie wspomnieć o obrazie, którego na wystawie krakowskiej brak,

a który jest prawdziwie po mistrzowsku odczuty momentem.

Wśród masy rozwiniętych sztandarów, otulony we furkające z wiatrem chorągwie konny orszak panów, poprzedzonych przez księdza na koniu i z krzyżem, przeciąga przed tłumem obnażającej golone łby szlachty. Pośrodku w szwedzkim kapeluszu, z wyrazem wzruszenia na twarzy, w tej chwili obrany król Jan Kazimierz. Czuć w tym obrazie uroczystość chwili, słyszeć nieledwie furkotanie chorągwi, słyszeć, jak wpośród bicia dzwonów, okrzyków tłumu, grzmotów z dział, milczący, uroczysty orszak powoli ciągnie do stolicy. To naród wiedzie na tron swojego elekta. Jestto jeden z najbar dziej odczuty obrazów Kossaka.

Rewera Potocki z buławą należy do tegoż rodzaju obrazów. Jestto jeden z najpiękniejszych „Kossaków“.

Niepodobna zresztą zastanawiać się nad poszczególnymi rzeczami. Te bajecznie odczute i z tak niesłychanem zacięciem rysowane konie w tabunach, te chłopskie furmanki i mierzynki pod družbami, te ułańskie i rycerskie rumaki, to niezmierne ich mnóstwo, jest zawsze interesujące, zawsze doskonałe i zawsze tak wybitnie Kossakowskie. Wszystko owiane tą wła-

ściwą mu poetycznością, składa się na ów, wyżej wspomniany typ twórcy, który jest tak niezmiernie ważnym składnikiem, tak niezmiernie niezbędną częścią ogólnego typu polskiego malarstwa.

Kossak i Maks. Gierymski stworzyli polskie konie. Ale Kossak, któremu dano było dłużej żyć i żyć w kraju, zrobił więcej, zrobił prawdziwiej i zapisał sobą całą ogromną kartę dziejów polskiej sztuki. Dziwnie też wszechstronny był to malarz!

Oto na wystawie krakowskiej wisi cały szereg portretów i konnych i niekonnych, z których portret jenerała Kruszewskiego n. p. lub konne portrety Sanguszków, albo starego Fredry w swym gabinecie, znamionują kapitalnego, o wielkim zakroju portrecistę.

. . . . .

Tak wiele już o Kossaku powiedziałem, a dotychczas ani słowa o jego technice.

Czyż można jednak o tem mówić, czy warto?

Technikę ma ten, który wszystko, co wyrazić pragnie, wyrazi tak, jak to w duszy jego się zbudziło, czyli robi tak, jak chce.

Technika więc to abecadło sztuki, a któżby się zastanawiał nad charakterem pisma wielkiego poety!

Nie głoski na papierze, lecz treść i wartość dzieła nas obchodzi.

Nie sposób malowania, lecz pojęcie obrazu jest dla nas rzeczą zajmującą.

Jakim tedy Kossak był technikiem? — Doskonałym, bo wyrażał się śmiało i jasno, rysował dzielnie, kolorystą był dzielnym, bo w każdym obrazie widzimy kolorystyczne skomponowanie, bo kolorem wyrażał wszelkie nastroje, jakie wyrazić zapragnął.

Nie technik tutaj, lecz artysta i dusza jego nas obchodzi.

Nietylko tedy ze stanowiska fachowca, z punktu widzenia malarza sądzić nam trzeba i oceniać Kossaka.

Juliusz Kossak, to przejaw polskości pewnej epoki, to obraz i nastrój całego kraju, ze współczesnych mu lat.

Jeśliby szukać porównania w literaturze, to znaleźlibyśmy mu towarzysza w Polu.

Jeśliby jako podobieństwo typów, Brandta ze Sienkiewiczem zestawiać można, to J. Koszakowi tylko W. Pol może być przydany.

I lubił go też Kossak, czuł i rozumiał.

*Mohort*, to ulubiony jego motyw, a *Pieśń o ziemi naszej* z całym ilustrował zapalem i miłością, i twierdzić można, że *Pieśń o ziemi*



*naszej* Pol z Kossakiem wspólnymi siłami zrobili.

Zwłaszcza znowu ten ton wesoło-rubaszny, brzmiący jakąś rzewnością, chwycił za serce malarza, czytującego wiersze poety, i znów najpodobniejsze u obu zrozumienie, najpodobniejsze wyrażenie się w opisie chłopca polskiego. „To też ludzie tam najszczerzy, tam to polski świat ochoczy, serce chłopcom ledwo z piersi a krew z lica nie wyskoczy...” zupełny Kossak! i dalej: „i gdy która cię przywita, z mazowiecka zaszcebioce i ugości...” i t. d. Wszystko dziwnie kolorem do Kossaka podobne... Tylko Kossak szerszy, bo Pol to poeta przeważnie szlachecki, Kossak poeta wszystkiej polskości. Obaj też mają wspólną miłość kraju, która brzmi w każdym słowie Pola, wieje z każdego obrazu Kossaka.

Jest to ta najgłębsza, najczystsza i najprawdziwsza miłość ojczyzny.

Nie jest to przywiązanie do pojęcia ojczyzny jako polityczno-społecznej organizacyi, ale do tego, co rzeczywistą i tę, której nam nikt odebrać nigdy nie potrafi, ojczyznę stanowi.

Kossak kochał polski łąn zbożowy, polską wieś, polskiego konia i chłopca, polskiego pana i żołnierza... Družba konny, śliczny polski ułan

i legionista i hussarz i szum polskiego lasu i woń łąk polskich, i legendowy „Król co bijał Turków a hulał z chłopkami“, i pani wytworna, i zamorusane wiejskie dziecko w kwietnym ogródku — to wszystko ukochane Kossaka obrazy, to wszystko umiłowana jego ojczyzna, którą znał, czuł i malować umiał tak pięknie.

Wielką też i ozdobną jest karta Juliusza Kossaka w księdze dziejów naszej sztuki, która ubogą byłaby bez tego typu — niezupełną bez tego malarza.

Jest to jednak artysta nietylko ceniony, ale kochany w narodzie. Wszyscy znają, wszyscy kochają obrazy Kossaka, bo jeśli do kogo, to już do niego w zupełności zastosować można słowa poety, że:

„ . . . piękność chował dawnych szczerých rysów,  
Napelniającą dom wonią narcysów“.

---

**CHŁOP POLSKI NA UROCZY-  
STOŚCI MICKIEWICZOWSKIEJ.**



Uroczyste obchody pamiątek, manifestacye publiczne, są jakby obrazem usposobienia narodu w danej chwili.

W tych to chwilach zawsze wypływa na wierzch jakaś boląca kwestya, zdradzi się jakaś potrzeba, objawi dążenie.

Znamienną cechą naszych obchodów jest, że zawsze staramy się wciągnąć do patryotycznej manifestacyi chłopów.

Od pogrzebu nieśmiertelnego Kościuszki aż do dzisiejszego Mickiewiczowskiego święta, nie było ani jednej manifestacyi, w którą by się chłopów wciągnąć nie starano, którejby nie użyto jako sposobności do pokazania, że chlopi razem z resztą narodu czują, myślą i działają.

I nie robi się tego tylko dla jakiegoś efektu, nie dla samej malowniczości sprowadza się przepięknie strojnych Krakusów, nie dla zabawy się ich ugaszczą.

Jest to jakaś wewnętrzną potrzebą polskiej duszy, z której ona nie zdaje sobie jeszcze sprawy, która się rozmaicie wyraża, ale że jest taka potrzeba, dowodzą tego choćby entuzjastyczne oklaski, lub szczere łyzy rozrzewnienia, błyszczące na tyłu twarzach na widok dziarskiego hufca strojnych Krakowiaków — dowodzi prawdziwa, niekłamana jakaś radość ogarniająca serca ludzkie, gdy na rynku krakowskim zabiela się sukmany, „zaczerwienia chłopskie czapki, — jakby nasiał maku“.

A jeśli stary Kraków ma gości zagranicznych w swych murach, z prawdziwą dumą pokazują im Polacy chłopów.

Jak Niemcy kolońską katedrą lub Norymbergą, jak Francuzi Louvrem, Włosi Watykanem, — tak Polacy chwalą się przed cudzoziemcem polskimi chłopami.

Dziś te dawniej bezimienne uczucia, ten mimowolny i mimowiedny zwrot, to zapatrzenie się wszystkich w chłopą, te uczucia, których pierwszym i najidealniejszym przedstawicielem jest Tadeusz Kościuszko, ujęto w teorię i nazwano — i dziś każdy wie, że chłop polski, to przyszłość, to ratunek tonącego okrętu, to spiż, z którego ulać się ma posąg „z jednej

bryły“, — co kiedyś... kiedyś... „ludy przełęknie“!

Tak marzą Polacy, tak się spodziewają, że będzie, bo się już ma pod koniec starożytnemu ich światu.

Polacy i Polska dotychczas, to była przed upadkiem Rzeczypospolitej szlachta, to było konstytucją 3 Maja zbudzone po Jej śmierci mieszczaństwo.

Ale szlachta gmach Rzeczypospolitej podkopała i runął, mieszczaństwo walącego się podeprzeć nie zdołało, bo słabe były dłonie.

Więc marzą Polacy, aby wstał chłop i podparł resztki murów i na nich nowe pobudował gmachy.

Pisze się o tem dużo, dużo mówi, robi co może, aby ideę ucieleśnić.

Tworzy się teorye i dużo argumentuje, jak się to do chłopów zabrać należy, jak ich trzeba uczyć, jak oświecać, jak „poprawiać“ co nie zepsute, jak „podnosić“ co nie upadło, jak „cywilizować“ co nie jest dzikiem.

Wszystko to są wysiłki tonącego, by złać konar drzewa co zwisa po nad odmęttem.

A tymczasem mimo wszystkich teoryj i działań, często z ich pomocą, częściej bez, samą siłą faktu, siłą fizyologicznego dojrzewania, ów

nowy żywioł rośnie, wstaje z długiego wiekowego snu, zaczyna poruszać się krzepkim ruchem i pokazywać młodą, zdrową twarz, śmiało w przyszłość zwróconą.

Słowem chłopci polscy zbudzili się i upomnieli o należne miejsce w dziejach narodu.

To też kto porówna dawniejsze obchody i manifestacje z dzisiejszą, widzi, że pomiędzy tak niedawnym jeszcze pogrzebem Mickiewicza a dzisiejszem odsłonięciem pomnika Wieszca jest ta różnica, że jeśli wówczas chłopci ciągle jeszcze spełniali rolę bezwiednego figuranta, jeśli wówczas było to nawet niesmacznem, owe sprowadzanie chłopów, aby byli dekoracją przedstawienia, które ich nie obchodzi — o tyle dziś przyszli oni już sami i ze świadomością celu. Czy jednak przyszliśmy tylko i wyłącznie dla Mickiewicza? tylko dla uczczenia świętej rocznicy Jego urodzin, które w gruncie rzeczy są bardzo idealną, bardzo, bardzo idealną pamiątką!

Czytelniku polski! pomyśl, że chłop to pisze! człowiek nowy! nie racz się dziwić, że pisze rzeczy, których nikt nie mówił, które może i niemile w uszy razić będą, bo nowe, bo może jeszcze za twarde dla kulturą wydelikaczonego ucha.



Tak jest, chłop jest to młodzieniec o zdrowych jeszcze nerwach, młodzieniec co rośnie i krzepi się i dlatego potrzebuje jeszcze grubszego chleba — rzeczywiście pokarmu, co mu siły daje, — podczas gdy starsza już inteligencja, idealniejszym żyć może pokarmem.

Nie obwijamy w bawełnę prawdy, miejmy odwagę słowa i czynu.

Sam fakt obchodzenia stułetniej rocznicy urodzin wieszczą nie jest jedynym motywem, który zgromadził chłopów przed Jego pomnikiem.

Rzetelną przyczyną chłopskiego udziału w uroczystości jest ta świadomość i to przekonanie, że tam gdzie jest polski magnat, polski szlachcic, polski ksiądz, polski mieszczanin, tam potrzeba, aby był także i polski chłop, aby też pomiędzy nimi poczystne miał miejsce i nawet gdyby go nie poproszono, toby przyszedł i łokciami tłum rozepchnął i siadł między nimi w radzie, bo mu się tam miejsce należy i wie, że gdyby się nie upomniał o nie, to kto wie, czyby mu jeszcze dano!

Że wielu jest już takich, co przyszli dla samego Mickiewicza, to prawdą niezaprzeczoną, ale nie dziwić się nikomu, że wielu jeszcze przyszło dla owego wywalczenia sobie miejsca w narodowej radzie.

Tak jest — i burzyć się nie trzeba, ani po-  
tępiać za to nikogo. Bogu tylko dziękować, że  
już tak jest, że już owe wspaniałe krakusy w su-  
kmanach to nie lalki sprowadzone dla zabawy  
polskiej publiki, ale ludzie dzielni, rozumni,  
co z pełną wiedzą tu przyszli.

Widać to już i po twarzach. Idą pewni sie-  
bie, spokojni i poważni jak senatory, dzielni  
jak rzymscy legioniści.

Na dziedzińcu zamkowym wrzawa się pod-  
nosi, słycać okrzyki „na zdar“, wchodzą czescy  
deputaci. Pomiedzy chłopami robi się ruch,  
słycać szepty: „przywitać ich, przywitać“,  
czapki się podnoszą i chłopci witają czeskich  
gości, „swoich“ gości, bo już się oni poczuli  
gospodarzami na starym wawelskim podwórku.

A widzieliście ich jak szli? a widzieliście  
łzy w oczach ludzi, co na nich patrzali! Pła-  
kali ludzie, bo te dzielne postacie chłopów, to  
nie zmarniałe, nikczemne figurki bladych ner-  
wowców, delikatnych kobiet, — o, nie! pod  
nimi gdy idą ziemia tętni, bo oni zdrowi, silni,  
bo w nich życie, w nich zdrowa myśl, w nich  
przyszłość narodu!

A zatem nie przerywajcie rozpoczętego dzieła,  
Wy dobrzy i dzielni ludzie, co pracujecie nad

oświeceniem chłopą, co mu pomagacie się rozwijać, — nie ustawajcie!

Oby wam tylko nie ścmiły sądu szablon, lub doktrynerstwo i obyście fałszywą nie poszli drogą, i nie skierowali na nią rzeki, co buchnęła tak żywym strumieniem, i nie zmarnowali wszystkiego!

Należałoby raz zdać sobie jasno sprawę co i jak robić należy.

Ciągle się mówi, że chłopą trzeba cywilizować t. j. oświecać.

Otóż te dwa wyrażenia, to wcale w tym wypadku oznaczać nie mogą jednego działania.

Przedewszystkiem pytanie, czy chłopą trzeba cywilizować?

Oświecać? dobrze! uczyć go różnych rzeczy, — zgoda! — ale nie cywilizować człowieka, który ma już kulturę i to piękną kulturę.

Jaki jednak jest punkt wyjścia, jaka zasada, według której należy działać?

Utarty dotychczasowy pogląd jest ten, że inteligencja polska jest warstwą wysoko stojącą pod każdym względem, i że jako posiadająca kulturę, dać ją powinna chłopu, zrobić go podobnym sobie i „podnieść go“ (!) jak się charakterystycznie mówi -- i dopiero

wówczas przypuścić w całej pełni do współudziału w życiu społecznym narodu.

Czy ten właśnie punkt wyjścia jest słusznym, spróbujmy o tem pogadać.

Znany to chyba każdemu objaw, że chłop przywiązany jest naprzód do swojej chałupy i roli, potem w wyższym stopniu do swojej wsi. W miarę potrzeby wyrabia się przywiązanie do swego okręgu t. j. do kilku lub kilkunastu wsi żyjących jednym życiem. Z dalszym rozwojem potrzeb rodzi się pojęcie coraz szersze tego patriotyzmu i dochodzi aż do szerokiego pojęcia organizmu państwowego, przedstawiającego (oczywiście w idealnej teorii) wszystkie interesy, wszystkich mieszkańców. — Dzieje się to nie według z góry postawionej teorii, nie według szablonu i doktryny, ale się dzieje pomimo wiedzy twórców dzieła, poprostu z przyczyn czysto fizyologicznych, dla wewnętrznego ku temu popędu i potrzeby. Dopiero gdy dzieło to już doprowadzono do skutku, wówczas zaczyna naród zajmować się teorią i zaczyna wyrabiać sobie cywilizację.

Nie było w dziejach przykładu, aby zakładano szkoły i oświecano ludzi w nieistniejącym jeszcze organizmie państwowym, i to w tym

celu, aby zrobić państwo i wytworzyć pojęcie narodu i patriotyzmu.

Oświata przychodzi zawsze już po stworzeniu tegoż organizmu i nie jest niczem innym, tylko ujęciem w pisaną teorię tego, co się już stało.

Teoria ta oczywiście jest taką, jakim był sam fakt powstawania społeczeństwa, czyli, że każdy naród musi mieć swoją odrębną teorię, to jest swoją właściwą oświatę, swoją odrębną kulturę.

Kultura tedy nigdy nie jest prawem, według którego ma się tworzyć czy rozwijać społeczeństwo po jej napisaniu, tylko jest pro prostu formą i wynikiem tego, co się już stało.

Każda teoria jest zawsze tylko sformułowaniem bezwiednie powstałego faktu.

W zastosowaniu do naszego społeczeństwa wygląda to tak:

„Na początku było słowo“, to jest chłopię słowiańscy mówiący lackiem narzeczem i mieszkający na dzisiejszej ziemi polskiej.

Wskutek owego właśnie popędu i dziejowych potrzeb, powiązali się oni później w jakieś organizmy, te organizmy w większe jeszcze jedności i tak powstało pojęcie Małej, czy Wielkiej Polski, czy też Mazowsza lub Pomorza.

Dzieje naszej ojczyzny objaśniają najlepiej powstanie tych organizmów i rozwój w jednolite państwo.

Oczywiście, że wyrazem tych prądów i popędu, że sprężynami i działaczami, co dzieło tworzą, są warstwy lub grupy szerszej myślących, ideologów i marzycieli, którzy w istocie za cywilizowaną część narodu uchodzić muszą i w istocie ową kulturę przedstawiają. Tak jest. Ale nie jest przecie prawdą, aby oni, zeszedłszy się w radę, wymyślili sobie ideę i wprowadzili ją w czyn.

Nie — oni są tylko ucieleśnieniem tkwiącego już w łonie społeczeństwa popędu, są działaczami, którzy ów popęd przedstawiają.

I u nas też tak się działo.

Aż do czasów Jagiellońskich, aż do złotego wieku rozwijany się w ten sposób i jesteśmy narodem nie tylko mającym swoją kulturę, ale niesiemy ją na Ruś, powiększamy nowymi nabytki nasz organizm społeczny. Wewnątrz zaś jesteśmy tak urządzeni, że każda z tych jednostek, co objawia chęć działania w dziele rozwoju narodu, ma drogę do tego otwartą, bo niema jeszcze różnic cywilizacyjnych między jednym a drugim stanem. Stany znaczą wówczas tylko gromadę ludzi działających i pracujących

nad rozwojem dalszym ojczyzny. Rycerz piastowski nie jest czemś tak odmiennem od piastowskiego chłopca, jak dzisiejszy Polak od dzisiejszego polskiego chłopca. Rycerz piastowskich czasów to tylko rozumniejszy, możniejszy od innych kmieć. Zupelnie to samo widzimy dziś w każdej polskiej wiosce — o czem każdy wie dobrze, a owo utrzymanie się tych pojęć przez tyle wieków i tyle burz dziejowych, jest najlepszym dowodem, że są one wynikiem wewnętrznego usposobienia, jak dziś się mówi, temperamentem narodu. Dlatego też chłop polski nigdy rzetelnym socyalistą być nie może.

Odmiennym żywiołem wówczas w Polsce są tylko miasta, zamieszkałe przez ludność obcego pochodzenia, z odmienną kulturą.

Ale wówczas naród, jeszcze silny i młody, nie przyjmuje owej niemieckiej kultury mieszczańskiej, ale ją „na swoją wiarę“ przeprowadzić usiłuje, czego wyrazem są ustawy Kazimierza Wielkiego, zrywające związki mieszczan z Magdeburgiem i polonizujące ich.

Wówczas to działo się przeciwnie jak dzisiaj, bo dziś miasta odrębną od naszej właściwej mającą kulturę, ową kulturę chłopu narzucić usiłują.

Czy tylko doświadczenia te i próby nie będą zabójcze dla rozwoju chłopca?

Wszakże pókiśmy własną żyli kulturą, póty nie było właściwie stanów w polskim społeczeństwie, póty rośliśmy, póty byliśmy dobrze zorganizowani, szczęśliwi. Dopiero kiedy cudzoziemska cywilizacja wyciskać zaczęła swoje piętno na pewnych warstwach narodu, dopiero wówczas tworzą się stany. A takie statuta Nieszawskie w r. 1466, ów pierwszy początek oligarchii szlacheckiej i upadku, są tylko wynikiem i wyrazem tego, że szlachta daleko odbiegła i w inną stronę odeszła swych braci i już do nich nie była podobną. Utworzyła więc pojęcie stanowe, tak zgubne, jak się pokazało. Gdy szlachta a później i mieszczaństwo poszło ową inną drogą, reszta narodu, cały jego rdzeń i podstawa pozostała się sama ze swoją kulturą piastowskich książąt i wstrzymana w pochodzie i rozwoju, do dziś dnia pozostała z nią i dochowała ją czystą. Tak jest, chłop nie jest dziki, nie jest niecywilizowany, nie jest gruby i pozbawiony szlachetnych popędów. Nie, on jest cywilizowany, ale cywilizacją inną, i to naszą prawdziwą, która niestety dziś już dla polskiej inteligencji zrozumiałą nie jest. Kto do chłopca się zbliża, bez uprzedzeń, bez złej wiary, kto ma na wiele rzeczy pobłażanie i wyrozumiałość, kto choćby tylko zastanowi się nad



własnym swoim polskim temperamentem i naturą, kto nieraz i sam w piersi się uderzy, polskie swoje wady rozpamiętując, ten z łatwością odnajdzie i ten z łatwością odnajdzie w chłopie pierwowzór siebie samego, pierwowzór prawdziwego Polaka, ale czystszy, zdrowszy, nieskażony wpływami niewłaściwymi, co krzywią i paczą polską naturę. Czyżby tedy nie było rozumne dopuszczenie chłopca, takiego jakim jest dzisiaj, do udziału w życiu publicznem? Tak jest — i nawet nie może być inaczej. Bo jak w początku dziejów naszych, tak i dziś, chłopca nie czytelnia, nie teoria do życia budzi, ale czyn, to jest udział w życiu publicznem narodu. To też, okazało się już dziś, że gdy raz lody uprzedzeń przełamano, gdy (niestety nieraz po ciężkiej walce) chłopca dopuszczono do życia narodu; zrobiło chłopie społeczeństwo skok naprzód, i to skok tak olbrzymi, że te jakieś dziesięć ostatnich lat, za całe stulecie obtoją.

Potwierdza to tylko powyższy dowód i zmusza do twierdzenia, że nie czytelnia, nie teoria, ale czyn, to jest udział w życiu publicznem zrobił chłopca obywatelem. Dopiero, gdy mu życie nowe, nowe otwarło horyzonty myśli, dopiero wtedy uczuwa on potrzebę oświaty.

Tak uczą dzieje i to wykazał rezultat ostatnich lat dziesięciu.

Z drugiej strony wszyscy znamy, nawet w przysłowiu ludowym utrwalony, niesympatyczny typ, zwany przez lud „z chłopca pan” — jest to typ nie rubaszny, lecz trywialny, nie rozumny, lecz to co zwa chłopci przemądrzały, nie praktyczny, lecz nikczemnie niski, wstrętny powierzchownością i duszą. Człowiek taki nienawidzi i gardzi zazwyczaj chłopem, gardzi jego rozumem, obyczajem, mową i strojem. Płaszczy się przed obcą kulturą, której obrzydliwym jest wytworem.

Wicie kto to jest?... To jest typ chłopca na pół zcywilizowanego naszą dzisiejszą cywilizacją, to jest typ, któryby się wyrobił jako typ ogólny narodu, gdyby go „panowie” przeciągnąć „na swoją wiarę” chcieli.

Bo jużcić przypuścić niepodobna, aby włościański naród bez wyjątku był złożony z wyborowych jednostek, które zresztą często są nieszczęśliwe w obcym żywiole, nie mogąc wielu, wielu swoich wrodzonych pojęć i pojęć, pogodzić z cudzemi pojęciami, które im daje cywilizacja.

A zresztą do czego doprowadziła ona?

Dotychczas tylko do tego, żeśmy politycznie

upadli, że fizycznie marniejemy, i że w rządzie ludów Europy nie zajmujemy samodzielnego stanowiska, ale jesteśmy tylko wzgardliwie tolerowani, jako bezindywidualni naśladowcy, o tyle gorsi i marniejsi od innych, o ile słabszem jest naśladownictwo od oryginału.

A zatem nie cywilizować, nie kształtować nowe społeczeństwo — lecz oświecać, tylko oświecać. To jest, nie wszczepiać mu swych pojęć, nie kazać mu gwałtem czuć tak, jak czuje dzisiejsze społeczeństwo, nie naginać go do dzisiejszego pojęcia patriotyzmu — bo chłop lepszym dziś polakiem od innych — ale dać mu tylko ilość wiadomości potrzebnych mu do zrównania się z pewnym zakresem tych wiadomości, które ma ta część społeczeństwa, co „robi“ politykę, ekonomię, wiedzę i t. d. A to tylko dlatego i tylko w tym celu, aby miał czem argumentować, broniąc się, aby prosto, wchodząc pomiędzy ludzi zbrojnych, sam nie stanął bezbronny z gołemi rękoma. Tylko to mu dać, a resztę już on sam sobie zrobi i zrobi dobrze — bo wyjdzie z tego miejsca gdzie stanął, rozpocznie budować gmach którego niedokończone ściany sterczą ze średnio-wiecza i dziwią odrębnością i siłą.

I słusznie, bo kultura nasza od wieku XVI.

gotuje nam upadek, a rozwój nasz z piastowskiego okresu zbudował potężną szczęśliwą Polskę wieku XV.

Chłop pozostał takim, jakim był cały naród przed epoką zgubnego upadku, więc niechaj wejdzie dziś taki jaki jest i niech się dalej rozwija.

Nie narzucać mu kształtu, jaki oblec ma!

Dlaczego n. p. narzucać chłopu literacki język, kiedy jego, pogardliwie zwana „gwara“, est przepiękną mową, którą Kochanowski pisał? Dlaczego narzucać mu n. p. formy towarzyskie, uważane u nas za oznakę kultury, kiedy jego formy są dalibóg wytworniejsze od t. zw. cywilizowanych? Wszak chłopci przy młodzieńcach lub dziewczkach nigdy nie gadają rzeczy, które słyszemy powtarzane w salonach, a dziewczki wiejskie, choć od dziecka znają bez żadnej hypokryzyi przeznaczenie swoje, są stokroć skromniejsze od kobiet z towarzystwa i mają je słusznie w pogardzie, twierdząc, że one to, nie panie „żyją po Bogu“, bo żyją bez fałszu i udawania. To też nie one, wcale nie one są choremimi histeryczkami, nie one to są owemi nieszczęsnymi istotami zdenerwowanemi spaczonym wychowaniem i pojęciami.

Chłopci młodzi, to mężczyźni, to nie zwy-

rodniali nerwowcy, o kobiecej już naturze i steranym organizmie — a ich starzy ludzie, to nie niedołęzne drżące starce, ale poważne, mądre senatory.

Darujcie czytelnicy, możem jaskrawy, może przykry, ale „mówię, bom smutny i sam pełen winy!“ — bo mnie boli, że nie jesteśmy „posągiem z jednej bryły“ — że nie we wszystkich polskich czaszkach błyszczy „gardzący śmiercią wzrok — życia rumieniec!“

Nie dzisiejsza to zresztą, lecz stara już pieśń, nie dzisiejsze dążenie. Zrozumiał to już przed stu lat człowiek, który dziś jest słusznie przedmiotem czci i miłości całego narodu.

Zrozumiał to ów prawdziwy, najczystszy bohater, co przed stu jeszcze laty nie wahał się w krakowskiej sukmanie poprowadzić swoich „dzieci“ na raclawickie armaty.

Tem jest wielki Kościuszko, że zrozumiał i odkrył źródło odrodzenia upadłego narodu.

W muzeum narodowem w Krakowie przechowana jest biała przez mój zjedzona krakowska sukmanka. Przed oszkloną gablotką, gdzie ją złożono, stają ludzie w milczeniu i skupieniu — przybywają z całej Polski, aby oglądać ten strzępek, tak jak muzulmani całego

świata radziby widzieć choć raz w życiu grób swego Proroka.

I słusznie, bo każdy Polak mimowolnie czuje, że ta stara, rzewna sukmanka to są tablice, na których wypisał Kościuszko przykazania narodowi, to *palladium*, które dziś krzepi dusze rozpaczne, a kiedyś będzie sztandarem zmartwychwstania i życia.

Rozumiał nieśmiertelny „Naczelnik“, że już nie szlachcic, nie mieszczanin, ale chłop, i to chłop nie przemieniony na „p a n a“, ale chłop jako taki bierze teraz na silne ramiona cały ciężar walącego się gmachu i dźwignie go kiedyś, albo z gruntu przebuduje, choćby miał „i niejedno miłe zburzyć, a inaczej odbudować“...

To też nie ubrał naczelnik swych chłopów w granatowe mundurki narodowych gwardyj, ale on sam, on wódz i duchowy król narodu, sam się, nie brylantową koroną i purpurowym płaszczem, lecz chłopską czapką koronował i odział sukmaną.

Kiedy dzieje zabrały Polakom króla i Ojczyznę, zsyła Bóg narodowi duchowych królów. Po Kościuszcze przychodzi Mickiewicz, Słowacki, Matejko. Podejmują ci króle-duchy przewodnią myśl pierwszego porozbiorowego naszego dynasty -- bo Mickiewicz marzy, aby księgi jego

zawędrowały „pod strzechy“, Matejko w chłopie widzi dalszy ciąg swych tytanicznych bohaterów i daje temu wyraz w „Kościuszcze“.

Ale już najpiękniej, najszczerzej głosi i rozumie to Słowacki.

Niechajże tedy społeczeństwo polskie zerwie z doktryną i biurokratycznym szablonem i niechaj podąży za przewodnią myślą swych porzoborowych królów.

Niech społeczeństwo polskie, które ma i objawia jak najlepsze chęci, zmieni punkt widzenia i zacznie działać we właściwszym niż dotąd kierunku, niech zrobi i poczetne da miejsce chłopu, jako chłopu, nie chłopu, przerobionemu na zczudoziemczalego mieszczaucha.

Niech społeczeństwo polskie nie wstydzi się tego i nie boi, że chłop kiedyś wyciśnie na niem swoje piętno i nada mu swój wygląd i swój typ. — Owszem niechaj nada, bo to nasz typ, nasz kształt.

Jeśli na Kościuszcze błyszczała sukmana i przykryła amerykański jego mundur, to jest już ona tak uszlachetnioną, że chyba nie wart jej strój cudzoziemski! Jeśli Kochanowski pisał podobnym, jak dzisiejszy ludowy, językiem, to chyba nie podła to gwara!...

Zbliżenia się do chłopu chcą same już fizyo-

logiczne warunki, dowodzą dzieje, głoszą wajdeloci.

Niech społeczeństwo polskie zbliży się nie tylko w teorii, ale i w życiu do niego i niech zacznie żyć trochę jego życiem, niech trochę zstąpi ze swych rzekomych wyżyn!

Niech społeczeństwo polskie zrozumie jego sposób życia, jego radości i smutki, myśli trochę jego myślą. Nie tak to trudno jak się wydaje! a skutki mogą być błogosławione.

Boć już otwarcie to powiedzieli Kościuszko i następcy i już temu lat kilkadziesiąt. Słowacki chłopów przy Bożym posadził stole i łaknął części ich jadła, wołając, że:

„Odzież przy miesiącu z pastuszków kolendą  
Wyglądać będzie, aż ze złotych stołów,  
Do których prosi Bóg a chłopci siędą,  
Przyniosą mu chleb wędrownie żurawie...”



# WIELKANOC NA WSI.



W dzisiejszem społeczeństwie naszym pozostały jeszcze niektóre szczątki dawnych zwyczajów. Dla nas są one jednak już tylko czczą formą, do której bezwiednie jesteśmy przywiązani.

Od dzieciństwa przyzwyczajamy się do opłatków i strucli Bożego Narodzenia, do zapachu gotowanych jaj i szafranu na Wielkanoc.

Bez tych potraw, bez tej woni zupełnie właściwej, bez ceremonii poświęcenia święconego, Wielkanoc nie byłaby Wielkanocą, wielkie święto Kościoła przeszłoby dla nas może nawet mniej uroczyście.

Właściwą też cechą tych świąt jest dla nas owo święcone i uroczyste, wspaniałe wieczorne nabożeństwo „Rezurekcyi.“

Przywykliśmy do tego, że na Wielkanoc rozdają się urlipy, zawiesza nauka szkolna. Każdy gotuje się do odbycia smutnej i radosnej zarazem pamiątki dziejowej.

Patryarchalna rodzina zbiera się, by spolem otoczyć stół ze święconem, gdyż ksiądz przyjdzie, błogosławić jadło i dom i mieszkańców. Przyjaciele szukają się, by wesoło święta przepędzić i w duszach ludzkich budzi się pragnienie, aby wszyscy, najbiedniejsi nawet, mieli ów chleb poświęcony i kołacz, i białego baranka z chorągiewką Zmartwychwstania, aby i najbiedniejsi mogli nie odmówić sobie kubka wina, co „serce człowieka rozwesela“.

A gdy ponysłimy o takich, co nie mają przy czem weselić się Pańskim Zmartwychwstaniem, litością wzbiera pierś człowieka i dałby wiele, by tym w płaczu obetrzeć łzy.

Przywykliśmy do tego wszystkiego i kochamy i cenimy, nie wiadomo dlaczego, ten stary obyczaj: nie czujemy już pochodzenia starego zwyczaju.

My jednak nie staramy się nawet tłumaczyć go sobie. W maszynowej pracy cywilizacyjnej, w wirze wrących, a nierozwiązanych zagadnień, interesów, zajęć rozlicznych, odcięci od przyrody i jej życia wysokimi ścianami ulic miejskich, żyjemy jak pochwyte do akwaryów morskie zwierzęta w zbiornikach wielkich, zwanych miastami, i oto, co się po za ścianą zbiornika dzieje niewiele się troszczymy, wierząc, że

życie nasze na dnie tej ściany, że doktryny, wylęte w biednych głowach więźni, co nie wychylają się po za ściany swego mieszkania, że usiłowania zrobienia rowku w dnie zbiornika, lub otworu w jego ścianie, są tak ważnymi i tak dla świata epokowymi zdarzeniami, iż o to, co się po za ścianami naczyń naszego i po za światem dzienników i sporów społecznych dzieje, nie pytamy zgoła.

A tymczasem po za ścianami naczyń z zamkniętem w nich mrowiskiem ludzi szaleją olbrzymie huragany, świeci ożywcze słońce, zielenią się lasy i błonia bezmierne, ryczą morza i żyją miliony różnych istot. Jednym słowem, nie żyjemy już życiem przyrody.

\* \* \*

Ale był czas, kiedy, nie przestając żyć życiem umysłowym, ludzie żyli w większej z matką przyrodą zażyłości.

Czuli radośnie rozkoszne tchienia wiosny, czar lata, lub wichry jesienne i do tych objawów w przyrodzie widzianych i odczuty, dostrajali własne dusze. Według nich urządzali sobie życie, tworzyli obyczaj, wyobrażenia, prawa i wiarę.

Dziś ludzkość jest rozdzielona na ludzi, co

wzięli dla siebie umyślowe życie i osiedli w miastach i na dzieci przyrody, którzy oddawszy niestety całkiem ciężar umysłowego rozwoju swym braciom miejskim, pozostali na szerokich polach, w lasach ciemnych, górach wysokich, żyjąc ciągle i wyłącznie już tylko życiem przyrody.

\* \* \*

Ci ludzie wiedzą, dlaczego święta są wesołe lub smutne. Oni czują, że dzień Zaduszny musi być w jesieni, bo w ponurą, straszną noc listopadową tylko umarli chyba z grobów wychodzą, by straszyć siedzące przy ognisku kobiety, i ci ludzie wiedzą, że gdy mróz ziemię ściśnie i biały całun śniegu pokryje świat, to już zdrowiej i weselej jest na nim i miło przy domowym serdecznym zasiadać ognisku. Ziemia-matka odpocznie sobie i człowiek po swojej pracy wytchnie.

Wówczas to ponad śpiącą w śniegu krainą wschodzi gwiazda Betleemu, Chrystus Pan się rodzi, serca ludzkie znowu radość ogarnia, bo i w przyrodzie mroźna zima, to zapowiedź lepszych czasów po smutnej agonii jesieni.

A kiedy już się ludzie nawesela do woli i wypoczną, gdy gnuśna zima już cięży duszy,

wtedy tęsknota za słońcem rozbiera człeka jak stare wino. Trzeba się upamiętać, odbyć pokutę po szalonej wesołości zapustnej, trzeba się do nowego życia przysposobić, bo już rola czarna z pod śniegu przegląda: wierzby czerwienieją i zwierz niebezpieczny w lasy się chowa.

Post nastaje.

A właśnie Chrystus Pan przez dni czterdzieści, choć ani grzeszny, jak my, ani jak my słońcu, wiatrowi, lub burzy posłuszny, przez dni czterdzieści gotował się, by rozpocząć święte Dzieło Zbawienia.

A jemu to i wichry i burze są posłuszne, i drzewa, i rola, i wieś ludzka.

Zima też ginie, zima gnuśności i g:zechu, nastaje czas, co ani zimą nie jest, ani wiosną. Marzec ani chorym nie zdrowy, ani nawet tym, co nie zaznali łoża boleści, więc niechaj i ci, co cieszą się zdrowiem, pasa przyciągną i poszczą, bo trzeba być silnym i krzepkim, bez żadnej dolegliwości, na wiosnę. „A jak się człeku [przepościsz „bez post“, toś na wiosnę zdrowy do roboty“.

„Dlatego to kazał Pan Jezus pościć bez cały marzec, żeby ludzie zdrowi na wiosnę byli“. Ot, i filozofia ludzi przyrody.

\* \* \*

Ostatki zimy, ostatnie dni dzikich zapasów północnego wiatru, z ciepłym słońca promieniem, słotne dni i niezdrowe, „i człowiek taki słaby“ w te pierwsze dni wiosenne.

Więc gdy za lada rzeczą pot ci kroplisty włos okryje, to ci na myśl przychodzi święty, krwawy pot Zbawiciela i niewinna Syna Człowieczego męka.

W takie to dni umęczyć musieli żydowie Pana, w taką to cichą noc wiosenną, kiedy miesiąc narysuje rosochate kształty nagich drzew na niebie, a po wsi jakieś niepewne rozleje światło, musiała Pana zdjąć dziwna trwoga i niepewność w okropnym Getsemańskim ogrodzie.

I Apostołowie wtedy, ci co się wyrzekli wszystkiego dla Nauczuciela, i oni wtedy ducha stracili, i Piotr nawet Go się zaparł.

„Bo to na wczesną wiosnę było“.

Ale kiedy Pan kamień odwalił grobowy i w jasności z chorągwią w świętej dłoni, wyszedł z ciemnego grobowca, wtedy odrazu świat się rozweselił, słońce oświeciło złocistym promieniem „Wielką Niedzielę“. Wiosna światła zesłała i zajaśniała blaskiem.

Więc i człowiek, syn ziemi, po ciężkiej pokucie Wielkiego Tygodnia, odda się na parę dni wesołości i uciechom.



Raźno mu na duszy i jasno w oczach. Duszę oczyścił i posilił u Stołu Pańskiego, lekko mu, bo Bóg mu przebaczył, i jasno mu, bo Bóg rozkazał wiatru i morzu, by ścichły, a słońcu, by ziemię ogrzało.

Więc już oziminy się zielenią w polach, obeschła rola, i ptaki swiergocą, a na strzechę siadł już bocian i otworzył skrzydła, „wczesny sztandar wiosny“.

I rolnik wyjeżdża już z pługiem, bo wiosna świata już zeszła.

\* \* \*

Ale tymczasem Święta dziś obchodzić trzeba pokutą, postem i pracą. Więc dobrze we Wielki Tydzień zasiać koniczynę; baby dom czyszczą i bielą ściany, a chłopaki jeszcze przed Palmową Niedzielą, palmy przygotowują. Tę palmę święconą trzeba we Wielki Piątek w szczycie na kalenicy zatknąć na domu i na stodole też, bo palma w ten dzień na dachu zatknięta, chroni przez lato strzechę od pioruna. A palma jest na patyku leszczynowym kształtem krzyża uwiązany. Ten krzyż się wyjmie i we zbożową rolę wetknie on od gradu ochroni. Bo w ten to dzień wielki spełniło się miłosierdzie Boże nad człowiekiem. i trwa to mi-

łosierdzie po wszystkie dni świata, a kto w ten dzień o niem pamięta, palmę w szczycie łatknie, a krzyż w roli, niechaj spokojnie śpi, bo Bóg na męki Syna Swego pamiętkę, miłosierdzie mu Swoje okaże.

Więc dalej we Wielkim Tygodniu legną się gęsięta i z tem robota, a gospodyni radość. Jadło na święcenie trzeba przysposobić i chleb upiec biały i kołacz ze serem.

Ogródek zryć pod kapustę i sieczki narznąć na całe święta dla gadziny.

A gdy się Boże odwiedziło groby, stroi się jadło bukszpanem i w koszykach układa, a „dzieckom“ małe koszyki z maleńkimi plackami daje, ocet w odetkanej butelce, wino i jaja przysposabia.

Wójt wielkie cebrzy wody znosić każe albo na dworski dziedziniec albo pod kaplicę. Dziewki i dzieci, strojne i barwne, jak polnych maków grządka na płowej ziemi szeregami koło cebrów stają, a przed każdą żółty koszyk ze „święceniem“ i ciemny dzbanek na wodę, którą ksiądz poświęcił.

Wesoło już w tem gronie i gwarno, bo krakowskie kobiety milczące stać nie umieją, zwłaszcza jeżeli tak pięknie, jasno i barwnie, jak kwiaty, są postrojone.

Ciekawość dzieci dochodzi do najwyższego naprężenia, gdy naraz lecą czerwono ubrane chłopaki, wrzeszcząc, że ksiądz jedzie.

I za chwilę przez tę grzędę pstrych chustek, kwiecistych spódnic i żółtowołosych główek dziecięcych przejdzie biały ksiądz, rzuci w każdy koszyk drobny deszcz wody święconej, pobłogosławi, pogłaska tu i owdzie dziecko, na końcu szeregów jeszcze się obróci i powie: „Alleluja!”

\* \* \*

Post się skończył, zima minęła, nadchodzi święta Noc Zmartwychwstania.

Jutro rozpocznie się i zejdzie wiosna światła — zabłyśnie upragnione światło.

Więc w Wielką Niedzielę, już skoro świt, wyludnia się wieś.

Światło Zmartwychwstania trzeba przywitać, skoro tylko rozproszy ciemność na niebie, a trzeba je witać w skupieniu, jadła nie kosztując, dopiero po powrocie z kościoła, przy jasnym już dniu, spożyć cicho i tylko w ścisłym kole rodziny święcony posiłek.

Dziś nie czas jeszcze na szumną wesołość, nie czas na odwiedziny: W Niedzielę Wielką

wieś cicha, jak wymarła, nawet najbliższe rodziny się nie odwiedzają.

Bo też to wielkie święto – święto radości, wiosny i światła pierwszego.

„W śmiguszny Poniedziałek“ dopiero wolno już wybuchnąć, boć też i trudno utrzymać się na wodzy! Krew gra w człowieku i fantazyja ci dosiedzieć nie da.

A dziewczki kwitną na wiosnę jak kwiaty na łące i woda już ciepła, więc starym obyczajem gasić trzeba żary i świtanie dziewczki pooblewać.

Odwieczny symbol budzącego się życia na wiosnę.

Krew się budzi w żyłach, więc też po świętach wesele za weselem...

A to wszystko sprawia jasne słońce, złote światło Boże!...

Takie jest pierwsze święto pierwszego światła na wiosnę...

\* \* \*

Człowiek jest jak kwiat lub kłosie, do światła patrzy głową i światło kocha, a boi się cienia, bo ciemnym jest grób.

Obyczaj też swój cały, do tego daru Bożego zastosował, do światła nietylko oczy, ale myśl swoją obraca.

To też świat najwięcej wtedy, kiedy na świecie światło się coraz bardziej potęguje, gdy coraz bardziej rośnie życiodajna jego siła.

Człowiek nie tylko kocha, – człowiek czci światło.

Powiadają uczeni etnologowie, że jest hipoteza, jakoby Wielkanoc była świętem umarłych.

Kto nie rozporządza odpowiednią ilością uczonych argumentów, niechaj nie porywa się na uczoną z mędrszymi dysputę.

Ale że rozum ludzki nie jest nieomylnym, a reszty niejasnych legend lub niezrozumiałych obrzędów nie są matematycznym, niezbitem twierdzeniem, więc nie będzie zbrodnią niewinne spostrzeżenie.

Pomijając wszelkie odległe od nas epoki i ludy, u których słońce lub ogień były bóstwem, zgodzić się musimy, że Kościół pragnąc cywilizacyjną mądrą swą działalność najtrwalej, bo na wieki, i najbardziej ludzko, bo nie przez gwałt, lecz przez rozum i uczucie ugruntować, sięgnął do śpiących w duszach ludzkich uczuć i uświęcił niektóre z tych uczuć wynikające obyczajem, zaszczepiając na nich chrześcijańskie symbole i obrzędy.

A więc i święta starych pogan przemieniał

rad na święta kościelne, zmieniając istotę a pozostawiając obyczaj, obrządek lub czas obchodzenia.

Że pogańscy ojcowie nasi czcili światło, ciepło i wiosnę, o tem dawno wie nauka. — Że święta chrześcijańskie często bardzo schodzą się z dawnymi pogańskimi, o tem też nikomu nie tajno.

Patrząc zaś okiem obserwatora, widzimy, że z pierwszym brzaskiem wiosny przypada święto Wielkiej Nocy, w dni czterdzieści potem, gdy słońce coraz silniej i jaśniej ziemię ogrzewa, obchodzimy święto Wniebowstąpienia, pamiętkę dnia, w którym Zbawiciel w chwale i jasności wstąpił w niebo, źródło światła, ciepła i łask wszelakich.

W dziesięć dni, w czerwcowym już blasku i upale przypada pamiętka tej łaski Bożej, święto zlania światła i mądrości na ludzkość przez Aniołów, których w dniu tym Duch święty oświecił.

Z potęgującym się światłem słońca, idą i symbole wszystkiego co jest jasnym, świętem i doskonałym.

Wschodząca gwiazda Betleemu to święto tęsknoty za światłem i znowu święto „Nowego Lata“. Zmartwychwstanie jest świętem nowej

Ery ludzkości, zwycięstwa światła nad grobem i ciemnością.

\* \* \*

Te dawno już pomarłe dzieci przyrody: starzy pogańscy i te dziś żyjące: chrześcijańscy polscy chłopcy, wiedzą o tem, choć jasno sobie sprawy z tego nie zdają. Oni to czują i wierzą w to. Uczy ich tego ciężka zima, w której gnuśniej i wiosna, która ich ożywia, uczy ich tego burza, której się boją i słońce, które ich rozwesela.

Cisną się ku światłu a boją ciemności.

Dlatego radośnie witali pogańscy ich ojcowie wiosnę świętym obrzędem, dla tego tłómaczą sobie oni sami, że dla Chrystusa Pana chwila męki w pierwszą godzinę wiosny nadeszła.

I dla tego nie dziwiają się oni, że święto Zmartwychwstania na wiosnę się obchodzi.

\* \* \*

My rozumiemy i dociekamy przyczyn, oni — czują.

My obchodzimy święta według kalendarza, oni — według przyrody.

Ale gdy się wychylić po za ściany naczynia, w którym pędzimy refleksyjne nasze życie i spojrzeć na szeroki świat po za temi ścianami żyjący, to się czuje na nowo, że się jest tak, jak i chłopci — synem ziemi i słońca.

I wtedy zaczyna się ich rozumieć i widzi się wiele rzeczy w duszach tych dzieci, których się pierwiej nie widziało.

Wyszedłszy za rogatki miejskie, człowiek cieszy się słońcem i pogodą i stwierdza, że w ludzkiej duszy tkwi odwieczna miłość dla światła.

\* \* \*

Życie wiedza, sztuka, dobro i szczęście, piękność i cnota, prawda i cała *καλοκαγαθία* starożytnych — to wszystko dzieci słońca...

\* \* \*

I „jutrzeńka swobody“, za którą „zbawienia słońce“ to także jasne dziecko... święcej Idei Zmartwychwstania.

---



**PERVIGILUM VENERIS.**





Smutne i ponure stare zamczysko, ciężko w niem żyć wolnemu człeku, cyganowi szczeremu.

— Niedość we dnie wiąże cię uroczysta, śmieszna dworska etykieta, męczy i nuży i litujesz się tym ludziom, co się dobrowolnie na takie męki wydali. Na krużgankach stoją nieme postacie lokajów i patrzą na cię wraz z licznymi, na ścianach wiszącymi przodki.

— Po rozciągnionym na ziemi kobiercu chodzisz, cicho jak cień, pomiędzy tem mnóstwem oczów bezmyślnych, martwych i nieraz wzdrygniesz się, bo nie wiesz, czy to automat w zbroi czy lokaj w liberyi naprzeciw.

— Ale już, gdy noc zapadnie, to zamczysko straszmem, nudnem i okropnem, jak bayroniczne Chillona więzienie — a wolna myśl swobod-

nego człeka wyrywa się poza grube mury, przez okna stylowe na świat szeroki, świat wielki i barwny, na wolny, boży świat.

A właśnie księżyc, wypłynawszy cicho, na głębie sklepień odwiecznych, rzucał jasne płyty światła na lipy stuletnie i w ciemnym murze drzew prastarych, co zamek gęstym otoczyły wieńcem, pootwierał jakby jasne okienka i szpary, ciemny konar gdzieś pokazał tu i ówdzie błysnął na liściu wilgotnym i w noc cichą, czarem nappełnił świat.

— Bajeczna przysiadła ziemię noc!

— Przez okno otwarte wkradł się promień księżycyca do zamku, jasny, drżący a duchowie nocy weszli po nim do komnaty.

Duchowie nieśli ze sobą sny i marzenia, nieśli piękne obrazy minionych dni szczęśliwych, słodkie wonie odległych lasów i bezbrzeżnych pól, i śpiewali cicho rzewną wspomnień piosenkę.

A jeden siadł mi na kolanach, był lekki i mięki, jak promień miesięczny, a roztoczył koło mnie woń jednej dawnej nocy księżycowej i pewnego ogrodu koło dworu starego, co stał, tak, jak i to zamczysko otoczony lip stuletnich wieńcem.

Już to dawno było, dawno, jak w tym domu

modrzewiowym z dziecka na młodzieńca wyroślem, a dziś przypomnieli mi duchowie nocy młodość moją minioną i ogród pełen starodrzewa, gdzie dziwożony miłosne siały ziele.

Tam drzewa we dwa rzędy sadzone przed wiekiem, splotły się dziś silnemi oznogami, jakby setnemi ramiony i przykryły ciemny chodnik strzechą liścia zieloną.

Tam właśnie zasiały nocą ziela dziwożony i ciemny chodnik pachniał miłosnem ziółkiem.

Eh! ja tam byłem jeszcze młody!...

Tam nocy jednej księżycowej, błyszcząca trawa w miesięcznym promieniu mgłą brylantową rosy, a w murze drzew stuletnich, księżyc, także jak dzisiaj, pooświecał okienka.

Ja byłem jeszcze młody, a noc ta cicha miłosnem pachniała ziele!

W ogrodzie jasno było i cicho.

We dworku spali wszyscy, bo spał niemy i patrzył tylko czarnemi oknami w oblicze księżycy i świecił tylko białą twarzą ścian.

Miłość rozlała się po świecie wonnym balsamem a z niego urodziły się roje pokus.

Pokusy rozbiegły się po ogrodzie miłe i zwodne a coś mi ciągle szeptały do ucha.

Ah! byłem ja wtedy młodzieńcem a noc miłością pachniała!...

Aż przystanąła za mną pokusa jedna i szeptać jej do ucha, że Hanka nie śpi.

A Hanka była czarnobrewa, była smukła jak łania, liczko śniade miała i siwe oczy z czarną rzęsów zastoną. Urodna była z niej dziewczka!

I znowu szeptać mi jej pokusa, że Hanka ma pod grubą koszulą piersi twarde, liliowe i okręglutkie ramiona i że piersi białe miłosnem pachną ziele, i że w gibkiem dziewczki ciele dyablik rozkoszy siedzi, i że Hanka nie śpi, a pod ścianą siedzi na progu.

Pokazała mi Pokusa drogę, a ja cicho koło ścian przemknąłem i mówię:

„Nie śpisz to, Hanka“?

Przysiadam ku dziewczce i chwycił się mnie dur z miłosnego ziele.

Więc pytam pocałunkiem w usta gorące, czy takie ma piersi liliowe, jak mi Pokusa opowiadała.

I poszliśmy w ciemny chodnik pod drzewa stuletnie, gdzie księżyc w ciemnym murze, jasne wśród liścia pootwierał okienka...

Czarodziejska noc, miłosnem rozwonila się ziele, a ja byłem jeszcze młody!...

I nawet nie czuliśmy zimna poranku, co nas zaszedł i ujrzał.

Dostrzegła nas jutrzienka wstydliva i zapłoniąca cała, okryta siną mgłą, by nikt, prócz mnie, nie ujrzał liliowych piersi dziewczki.

Więc w siną jutrzienki zasłonę stuleni uciekliśmy z rajskiego ogrodu, gdzie zieleń miłości dziwożony siały.

Ale kiedy dzień słoneczny wioskę rozweselił biegiem szukać w krasnej dziewczek gromadzie, Hanki smukłej jak łania, i wieczorem czekał, żeby raz jeszcze po miesięcznym blasku sięść z dziewczką pod ścianą na progu.

I co wieczora odtąd, jak tylko noc czarodziejska ponad ogrodem zasłonę rozpostarła, schodziliśmy się pod murem z lip stuletnich, gdzie księżyc wśród liścia, jasne pootwierał okienka.

Hej! byłem ja wtedy młodzieńcem, a noce pachły miłości balsamem!...

.....

Ale kiedy, jednego wieczora, księżyc późno już na głębie wiekuistych wypłynął sklepień, jakiś niecały, jakiś bledszy, widzieliśmy, że nam przyjdzie iść od siebie.

A kiedy noce nastały czarne, pożegnać ich nam przyszło.

W ogrodzie już nie było czarownego świa

tła miesiąca, więc tylko ustami szukałem gorącego liczka dziewczki.

. . . . .

A potem — potem poszedłem we świat.

Potem już nigdy nie widziałem więcej morderzowego dworu, co stał pośrodku drzew stuletnich wieńca, — potem już nigdy w ciemnej alei nie przeżyłem z Hanką czarownej nocy miłosnej!

. . . . .

Taką mi z lat młodości powieść, ten duch nocy opowiedział.

Zeszedł cicho z kolan moich i dłoń mi drżącą, świetlistą, położył na sercu aby nie biło, bo to była tylko bajka z dawnych lat.

Obejrzę się w koło, aż tu niema już błyszczącego rosy brylantami ogrodu koło mnie, bom ja przecie w zamkowej komnacie, a od tej pierwszej nocy miłosnej dzielą mnie zbiegłych lat szeregi.

Ale myśl moja wolna wybiegła znowu za mury zamkowe i poszła — ale już szła gdzieindziej.

Poszła do białej chałupy w sadzie wiśniowym.



Tam, w izbie, w tej nocnej godzinie, płonie lampka czerwona.

W różowym blasku migoce i lśni złota korona Częstochowskiej Królowej, rozognia się czarna, święta twarzyczka, a oczy malowane zdają się łzą zachodzić i patrzą — patrzą na dół na wezglowie pod obrazem.

Bo pod lampką, we mgle półcieniów, śpi na czerwonej poduszce Matusia młoda, a przy niej dziewczucha maluśka, jasna jak złoty anioł na obrazku.

Obie śpią lekko i spokojnie, bo je anioł święty ukołysał do snu, a Matka Boska ze ściany patrzy i strzeże. Więc jeśliby лихо nieczyste nieszczęście matce lub dziecku stawilo, to Matka Boska ściągnie rączkę czarną i zasłoni niewinne dzieci.

A w mojej komnacie duchowie nocy śpiewać poczęli prostą pieśń, tę samą pieśń, co matki po wioskach dzieci nią usypiają:

Uśnijże mi, uśnij — Jamiołek cię uśpi,  
Mama cię utuli — w malowanej luli...

śpiewają nocni duchowie i znowu po chwili:

Uśnijże mi uśnij — Paniczus cię uśpi,  
Jamiołek obudzi — to ino do ludzi...

A mnie bije serce i płonie mi krew, bo ta Matusia młoda pod świętym uśpiona obrazkiem

z dziewczuchą malušką i jasną jak anioł — to moja jest — moja.

Ale to nie ta, co mnie przed laty, w czarodziejską noc miesięczną, durem woni ciała lubieżnego uwiedła, co mnie młodzieńca kochaniem upoiła jak wódką.

Ta druga to wcale inna.

Ta druga to drogi mej ziemskiej, ciernistej, wieczna towarzyszka.

Ta druga to jest moja — moja własna — ona mi, nie kilka księżycowych nocy miłości namiętnej, ale życie całe bólów i smutków, ale swe łzy czyste i uśmiechy niewinne, swe ciało wdzięczne i swą prostą duszę oddała na wieki!

. . . . .

Biją zegary zamkowe a Sen przyszedłszy, nakrył mi oczy boską dłonią.

W Ł. 1 października 1895.

---

# W NOC MAJOWĄ.

7\*





Zaświeciłem lampę: wewnątrz wiejskiej cichej komnatki oblało żółte światło, oświetlając ściany jasne, staroświeckie sprzęty i białe w oknach zasłony.

A po za oknem roztoczyła nad światem i nad rozkwitłymi sady, miesięczna czarodziej-ska noc majowa, swe cudy, powlekła ciszą wieś uspioną, uspokoiła ludzkie dusze, roznieciła w młodych sercach żary miłości, — i czar zeszedł na ziemię.

Nieokryte jeszcze liściem drzewa stanęły olbrzymiemi czarnymi kształty, jak widma na jasnym niebie, ściany sadów okryła tajemnicza osłona, że zdały się jakby głębie ciemne. — Na nich z rzadka jaśniej gałązka kwiatem pierwszym rozkwitającej wiśni i patrzy przez jasne okienne zasłonki w głąb cichej, niskiej komnatki.

A księżyc, zamyślony czarodziej, ciśnie gdzieś gdzie złoto — jasną plamę na ścianę siedzącej w głębi sadów chałupy. — Ściana świeci jak upiór blady, drżący, i patrzy czarnem okiem ciemnego okienka — patrzy wprost w złotą twarz miesiąca.

W sadach trawa błysnie gdzieś gdzie brylantem rosy, jak spadła na ziemię gwiazdeczką, na białej ścianie legnie pomału siatka ciemnych drżących cieni, rzuconych przez rosochatą jabłoń i starą, olbrzymią lipę, której liście nie okryły jeszcze.

Czar i cisza zstępują na świat.

Ludzie już posnęli we wsi. — Ludzie dzieci tej wsi. — Ludzie dzieci tej ziemi, bracia starych drzew i starych, pod olbrzymiami strzechami zgiętych, chałup dziedzice.

Ci ludzie dzielni, serdeczni, zdrowi i silni, weseli lub smutni, żyją razem z tą ziemią, co ich żywi, myślą o niej. — Żyją za pan brat z wielką lipą w ogródku, żyją jak z dziećmi własnymi, z gromadką jabłonek w sadzie kwitnącą, kochają swoją białą chałupę pod olbrzymim strzechy chochołem, jak o dziecko własne dbają o swe krowy i konie, rozmawiają z nimi we dnie, żegnają się z nimi wieczorem, zasypiają z temi bydłętami snem słodkim ludzi

niewinnych, gdy księżyc złote światła po ścianach rozrzuci, a ziemia -- matka chwyci już cień.

Nad ludźmi temi stanie w jasną noc majową cichy złoty miesiąc i czuwa, strzeże wioski i ludzi -- a w ciemne, czarne, ponure noce jesienne, stanie wśród wioski anioł i strzeże jej, bacząc pilnie, by nocna sprawa licha we wsi nie uczyniła.

Ale w noce takie straszne jesienne i w noce ciche jasne majowe i w gwiazdziste noce zimy i w szare świętojańskie północki, w każdą noc, przyjść mogą do wsi i do drzwi chałup zapukać tacy, których tu niegdyś kochano, lub i tacy, których nienawidzono, a którzy już niechodzą po świecie, lecz ich już w łonie swoim święta ziemia nosi.

Tacy chodzą i patrzą przez ciemne okna do wnętrza izb, bo ciekawi, co też na świecie porabiają ci, co jeszcze żyją i co cieszą się słońcu bożemu. A śpiącym ludziom w izbach, śnią się wtedy ci pomarli i ze snu wróżyć też można źle albo dobrze.

A gdy sidziesz w taką noc majową sam w komnacie, gdy zaśnie już w domu, co żywe i sam tylko czuwasz, w okno patrząc, wtedy, czujesz i wiesz pewno, że mar szeregi i duchów

tłumy, ze sieniej sadów głębi wychodzą, pod czarnemi drzew pniami stają lub drżą w miesięcznym promieniu.

A co który w okno twoje otwarte bladą wstawi twarz, każdy zapyta, czyś nie zmarnował czego nu świecie. Jeden cię bladym milczącym obliczem pochwali niemo, inny zgani, inny zapyta, a wszyscy wywołują ci przed oczy minione obrazy, zbiegłych bez pamięci lat.

Ci goście czuwają nad ludźmi, cieszą się z nimi lub smucą, ale częściej smucą się, gdy ludzie się radują.

Oni przeszli już przez ziemską tułaczkę i poznali już wszystko zło na ziemi, zło wynikające z ludzkiego głupstwa.

Ludzie są dziećmi i pozostają dziećmi do końca życia.

Jak dzieci niesforne — nie słuchają matki, wysuwają się z pod jej miłosnej opieki i lecą gdzieś na oślep, lecą, gdzie ich wiedzie, idący za każdym człowiekiem szatan zła i nieszczęścia.

Szatan przywodzi im złych towarzyszy, *pychę* i *dążenie*.

Dzieci idą za niemi, słuchają upajającej ich namowy, biegną za niemi — przez ciernie



i osty — aż skrwawione, kalekie, chore i ginące padną na łono matczyne ze łzami i bólem.

Ludzie wszyscy mają swoich szatanów. — Szatani każą im być mędrszymi od matki, matki-przyrody. — Każą im drwić z jej praw, uragać odwiecznej, spokojnej mądrości.

Przed tłumem biednych mieszkańców ziemi, biegnących gdzieś na oślep, leci zziajany, wściekły, czerwony upiór z potarganą, krwawą chorągwią w ręku, na drzewie zamiast pałki lub grotu, złota figurka skrzydlatego geniuszka, a na czerwonej szmacie ogniste głoski wołają: »*kultura*«.

A gdy się upiór odwróci do czerni, czerni słucha mowy jego piorunowej.

A upiór czerni wyklada, że ludzka myśl, to orzeł, co po nad kosmiczne przepastne przestwory i po nad prawa ciężenia i po nad prawa rozmnażania i po nad wszelką mądrość Bożą wyleci i góruje.

Więc ludzie drwić poczynają z odwiecznej mądrości i wieżę Babel wznoszą stujęczyczną.

Aż kłótnia się zerwie, jak burza pomiędzy ludźmi, aż choroba i żądza gorączką zmoże i kalekim uczyni ród tych ludzi biednych i głupich.

Z krwi potoków, z chorobliwej żądzy, ro-

dzą się Ucisk, niesprawiedliwość, Zazdrość i Nienawiść.

Aż kiedy runie szatańska budowa, kiedy wyginą marnie setki pokoleń, chore, biedne, głupie dzieci, padają na święte matki-przyrody łono, wołając: pociesz, utul, rany zgój.

Wtedy ziemię okrywa cicha, wonna, jasna, czarodziejska noc miesięczna. Matka-przyroda patrzeć każe chorym dzieciom na ciche kwiatem okryte drzewa, każe im pić rosę niebieską i uśpi je.

A wtedy wyjdzie anioł miłości z zielonej głębi sadów, z ciemnych borów i pól szerokich, kładzie chorym dłoń na sercach bijących i szepta im w ucho:

„Śpijcie na łonie kochającej, mądrej matki, nie czcijcie upiora sławy, ani upiora złota, ani upiora postępu, ani upiora dążenia. Czcijcie anioła miłości — co czynicie, czyńcie przez miłość.“

„Wy nie jesteście mędrsi od Boga, ale mędrszym jest Bóg i córka jego przyroda, wasza matka, co na jej łonie śpicie“.

I ludzie śpią cicho i marzą cudnie i są szczęśliwi przez chwilę — aż do poranku, kiedy nad ich wezgłowiem stanie znowu czerwony wściekły upiór z krwawą chorągwią.

Ale ci, co już ziemską skończyli wędrówkę, oddalają się od ziemskich spraw aż w niepojętą wieczności perspektywę.

Tam niema już czerwonych upiorów, bo to jest państwo i dwór, gdzie rządzi odwieczna mądrość, spokojna, jak Bóg.

Ci, co granice państwa tego przeszli, wiedzą, że ludzkie dążenia i myśl ludzka i ziemia cała, to mniej o wiele, nieskończenie mniej, niż jedno biedne ziarnko piasku w oceanie i wiedzą, że ta garstka mikrobów na powierzchni ziarnka, tyle ma wpływu na ciemne głębie oceanu, co ludzka myśl na ruchy ciał niebieskich, ważących się w kosmicznych przestworzach.

Tych tedy przeszłych już ludzi odwieczna mądrość posyła w cichą noc księżycową na ziemię, aby do mieszkań ludzkich zaglądali i we snach ludziom widzieć się dali i ostrzegali ich, tych biednych głupców.

Więc w sadach kwitnących i wioskach uśpio-nych, stają cienie, drżą w promieniu księżycowym i zaglądają do ciemnych okienek.

Śnią się wtedy ludziom te nieboszczyki, i słuchają biedne ludziska ich przestróg i rady.

Ale czasem poszle mądrość odwieczna ducha wielkiego na ziemię. Ten szepta ludziom

w ucho wielkie słowa odwiecznej mądrości, i uczy ludzi miłości. — A kiedy człowiek „co ma skład w głowie i zdanie“, wysłucha go i dobrze słowa zapamięta Boże i głosi to innym ludziom, gdy ze snu się zbudzi, — wtedy ludzie dziwią się jego mądrości, bo mądrość jego nie jest głupią ludzką wiedzą, ale jest bożą myślą.

Ten człowiek głosi miłość, szlachetność i dobro po świecie.

A ludzie dziwiąc mu się, nazywaj go czasem świętym, albo powiadają, że w nim zamieszkał Król — Duch.

\* \* \*

Dziś właśnie taka czarodziejska noc roztoczyła się nade wsią.

W okno moje otwarte wchodzi słodka woń sadu i zagląda ją jasne kwiatki wiśni. — Ci, których kocham bardzo, w objęciach dobrego anioła posnęli i leżą w łózkach z wyrazem błęgiego spokoju. Czy kto dzisiaj przez białe zajrzał do mojej komnatki zasłony — oni jutro i wiedzieć nie będą.

Chyba, że im powiem.

Ale ja im tego nie powiem, ta jedna jedyna na świecie zostanie przy mnie tajemnica, bo

to jest spowiedź moja, wielka święta spowiedź mojej duszy.

I nawet najmilszej, najbliższej, jedynej mojej tego nie powiem.

Choć tu o niej mowa będzie i choć ona jest mi wcieleniem myśli mej młodzieńczej i jest tętnem serca mego i marzeń moich spełnieniem.

Choć ona jest postacią, pod którą, jak pod biblijną figurą, żyją ideały moje i żyje w niej najświętsza z moich miłości — miłość ojczyzny.

I choć w nią patrzę, jak w Polskę, jak w gwiazdę nadziei, choć w drobne miękkie jej rączki złożyłem najszczerze myśli mej pragnienia — choć ona każdym spojrzeniem wlewa we mnie wiarę, choć w nią, gdy patrzę, wierzę, że Polska powstanie, — ja jej utro nie powiem, kto był dziś u mnie.

Ta jedna, jedyna tajemnica pozostanie przy mnie, bo to jest spowiedź moja — wielka, święta spowiedź mojej duszy.

Z po za białej firanki twarz biała przegląda i włosy srebrne i wąsy.

Twarz patrzy we mnie łagodnie i smutno, i patrzy ciekawie, i pyta oczyma.

Ja znam tę twarz i tę brodę siwą, hiszpańską.

Ja znam ją od dziecka i kocham ją i czczę.

Ja kocham nie tylko człowieka, co twarz tę nosił na ziemi, ale kocham i czczę rycerza, ojca tych pragnień moich i bólów moich i moich nadziei.

On też w duszy je nosił.

A gdym był małym chłopakiem, mówił mi, co mam kochać i kogo.

On mi opowiadał o tych czasach, gdy nosił mundur o żółtych rabatach i kask pozłocisty.

Opowiadał mi, jak koń go spieniony niósł, jak wicher, w grochowskiej olszynie, opowiedział mi, jak działa tam grzmiąły i jaka w duszach ludzkich grzmiąła pieśń nadziei!

I opowiadał mi smutne rozdziały z księgi tułactwa i pokazywał mi straszliwą bliznę...

— Straszliwą bliznę!...

Gdy mundur nosił ułański z żółtymi rabatami, otrzymał ran wiele i blizny sine okryły mu nogi:

— Ale te nie bolały...

— O, te nie bolały wcale...

Gdzie tam! on kochał te blizny. Niegdyś radośnie upajał się bolem, gdy leżał skrwawiony

w grochowskiej olszynie... A gdy zasypiał potem, starzec biały, szedł wieczorem na spoczynek, uśmiechał się do blizn i ran i zasypiał błogo... błogo!...

Ale na głowie miał bliznę — bliznę straszliwą.

Ta go bolała! bolała bardzo, bo ranę zadał mu brat!... w owe trzy dni straszliwe, w tę zimę okropną. — W ten czas przekłety, kiedy nad trupem matki szalały dzieci i brat poszedł z nożem i piłą brata rznąć...

Ta rana boleć musiała okropnie. — Ale gdy ranę mu zgojono, ból minął bezpowrotnie.

Rana była w głowie, głęboka, szeroka, ale na głowie już jej nie widział i zapomniał... zapomniał na wieki i nigdy nie pamiętał bólu.

Przypomniał mi dzisiaj ten starzec biały, cichy dom otoczony drzew stuletnich wieńcem...

Przypomniał mi stary ganek drewniany i wielkie pokoje, w których siadywali bracia nasi, mili bracia nasi, długowłosi i w zgrzebnych koszulach, w pasiskach szerokich. Siedzieliśmy pomiędzy nimi przy stole okrągłym a oni mówili. I mowa ich była taka, jak szum starego boru, a dusze ich były takie, jak dusza Piasta — Ojca, a myśli ich były takie, jak lot

orła, co z boru ciemnego leci po szczytach tatrzańskich siadać.

I potem, gdy odeszli, mówił mi biały, drogi mi człowiek, że tych co tu przy naszym siedzieli stole, kochać trzeba i wierzyć im, że nas kochają...

A mili bracia nasi, długowłosi i w zgrzebnych koszulach, na ręce mnie brali, chłopaczka i życzyli, bym był ojcu podobny.

— Mili bracia nasi...

Ojcowi i moi — mili, drodzy bracia nasi w zgrzebnych koszulach!...

A w komnatce, gdzie sypiał ten biały starzec, nad łóżkiem jego żołnierskiem wisiał portret wodza. — Wódz miał twarz ogoloną, włosy długie, patrzył w niebo, jak anioł i miecz oburącz trzymał. — Biały, drogi mi starzec powiadał mi, że takim był wódz, gdy przysięgał na stopniach ołtarzów.

I tego wodza kazał mi kochać.

Biały, srebrnowłosy, drogi starcze! nie uchodź mi jeszcze w głąb sadów!

Jeszcze mi powiedz grzmiącą piosenkę nadziei! Jeszcze się choć zapytaj, czy dzieciom moim uczyć się kazałem twej grzmiącej piosenki nadziei!...

Zapytaj, czy kochają tak, jak ty kochałeś,



wodza z długimi włosami i w białej sukmanie!

Lecz tam z pod wiśni, jakby z ciemnego jej pnia, ktoś znowu przychodzi.

Poznałem go! To Mistrz! to stary majster nasz!

Przyszedłeś i Ty do mnie Królu — Duchu!

Przyszedłeś?

— Czym ja godzien Ciebie?

— Czym godzien Twych odwiedzin?

Tak, jednak! — godzien jestem, bo myślę o Tobie, bo kocham Cię i czczę w Tobie Króla — Ducha!

Ach, Mistrzu! widzę Cię, jak żywym — i blade Twe oblicze i ten nos skrzywiony i to Twoje płomienne, królewskie spojrzenie!...

Pytasz mnie — pytasz, czym wierny pozostał temu, coś mi mówił nieraz?

Pytasz, czy z obcej nie piję krynicy, czym wodę naszą ulubił ożywcza!!

I pytasz, czy wierzę... czy wierzę tak, jak Ty wierzyłeś?... czy widzę świetną gwiazdę nadziei tak, jak Ty ją widziałeś?

I pytasz, czym nie sponiewierał tego, czego tak strzegłeś, by nie zaszargali Ci, co pieśni anielskiej, pieśni nadziei i miłości śpiewać nie chcą lub nie umieją?

Domagasz się odemnie odpowiedzi!

Mistrzu! Mistrzu Janie!

Mistrzu nie żądaj słowa! ja nie wiem, ja grzeszny, ja mały.. jam wielki tylko pragnieniem, by było u nas dobrze!

Zamykam oczy, ale czuję przez powieki zamknięte płomień oczu Mistrza.

Stają przed oczy mej duszy dni uniesień i zapału — dni młodości, dni, kiedy czułem się silnym zginąć za kraj i budować! budować, wznosić gmach ideałów!

I towarzysze moi stają teraz przy mnie szeregiem i znowu — znowu Ciebie słuchamy! Bo gdy mówiłeś, to słowami Twemi zapalałeś nam dusze młodzieńcze, jak ogniska!

Bo Mistrzu! Ty brałeś paletę i pendzle z jedną zawsze myślą: z tą samą myślą, która niosła ułanów naszych w żelazne szeregi! — Myśl Twoja, to ta sama myśl, która niegdyś zamieszkała w czaszce wodza w sukmanie, a serce Twe, to jego serce!

Ty wyciągniętą ręką pokazywałeś nam młodym drogę, pukalesz nam w serce i — pytalesz: czy chcecie iść tam wysoko — wysoko? tam gdzie brzmi pieśń nadziei?...

\* \* \*

Goście moi! mili goście moi! Oczy wasze

patrzają we mnie i pytają. — Wy tak, jak ci goście, co po chatach przez okna do izb zaglądadają, wy też w cichą, jasną noc miesięczną przyszłście mnie pytać, co robię, przyszłście zapytać, czym nie zgubił talizmanu coście mi dali, czym nie zapomniał waszej grzmiącej pieśni nadziei?

Spowiedzi mojej wysłuchajcie, spowiedzi serdecznej. Dużom grzeszył! niewiarą i zwątpieniem! — Rozumu i zimnej rachuby przyniosły mi czarne szatany — lecz pić nie chcę z ich czary!

Goście moi, goście mili! Duchy wy czyste i miłujące, pomóżcie, niechaj się bronię czarnym szatanom!

Lecz goście moi patrzają we mnie spokojnie oczyma.

I jakby granie anielskie słyszę słodkie ich głosy, nie takie, jak ludzkie, ale tak dziecinne, jak głosy bożych dzieci, jak szum wiatru, lub szmer wody, albo jak dziwny szum, co w próżnej morskiej muszli szumi.

Więc biały starzec mówi:

„Dobrze mi w królestwie odwiecznej mądrości, bom słuchał na ziemi będąc głosu miłości anioła.

„Życia mego towarzyszkę kochałem i synym

zostawił Ojczyźnie — i Ojczyznę kochałem i koń mię ułański niósł w jej obronie, i życie Jej całe złożyłem — i braci kochałem biedniejszych, przez pychę ludzką zapomnianych, bom widział w nich przyszłość, bo w duszach ich śpiewa grzmiąca piosenka nadziei.

„Drwij z ludzkiego mętnego rozumu i śmiesznej ludzkiej wiedzy — słuchaj tylko miłości anioła“.

A mistrz o wzroku płomiennym powiedział:

„Dobrze mi w królestwie odwiecznej mądrości, bom słuchał na ziemi będąc miłości anioła.

Kobietem kochał i synem zostawił ojczyźnie.

Ojczyznem kochał i życie i zdolność moją jej dawałem.

Nie szedłem z czernią ludzką, nie goniłem za upiorem czerwonym, lecz w cichej mieszkałem świątyni i umarłej Polsce postawiłem pomnik.

A pomnik com Polsce postawił, trwalszym jest od śpiżu, bo to jest pomnik z ducha mego i z mojej miłości, może i ludziom, gdy patrzą w niego, dzwoni w sercach grzmiąca piosenka nadziei!

Drwij z ludzkiego rozumu i śmiesznej ludzkiej wiedzy, kochaj przyrodę — matkę i słuchaj głosu miłości anioła“.

Goście moi! mili goście moi! słucham was,  
słucham dzisiaj tak, jak słuchałem waszej mowy,  
gdyście ludźmi jeszcze byli.

Postuchajcie i wy mnie, postuchajcie!

Ziarnoście mi w duszę siali, gdyście żyli,  
i oto dziś patrzeć przyszliście czy zeszło!

Postuchajcie mnie,

Postuchajcie:

— Bo o was marzyłem ja nieraz, gdy  
w wiejskim sadzie zielonym  
dziewce patrzyłem w źrenice, przez które  
duszę przeczystą,  
i cnotę jasną, anielską, widziałem, jakby  
w zwierciadle.

— A gdy w zimowe wieczory, lub cudne  
lata południe  
w gronie siadałem rodziny, co w chacie  
mieszka piastowej,

— Lub gdy z kmieciami w pogwarki wdałem  
się długowłosymi,

— Wtedy widziałem się w starej, piastowej ziemi  
lechickiej

— I kiedy ucho mi pieści prastara kmieci tych  
mowa,

co myśli tęgie, zuchwałe i uczuć skarby  
pierwotnych

w poważne stroi wyrazy, — i kiedy patrzę na  
młodzież,  
co jako kłósie pszenicy proste i krzepkie wyrasta,  
W głowie ma ogień, a w żyłach krew jeszcze  
nie ostudzoną.  
A w tęgich ciałach tych dusze mieszkają, orle,  
skrzydlate,  
a w tęgich ciałach tych serca biją gorąco  
i rzewnie,  
i kiedy patrzę na matki tych przyszłych  
polskich pokoleń,  
jako dziewczeczki rumiane, bo czystość myśli  
i duszy  
zanoszą w starość zgrzybiałą, choć matki —  
czyste jak panny.  
Wtedy i we mnie nadzieja budzi się, a odlatują  
Zwątpienia czarni duchowie, złośliwe śmierci  
zwiastuny.  
A w jednym sadzie zakwitła biała jabłonna jak  
piana,  
I pożyczyła rumieńca z lica niewinnej  
dziewczyny,  
co pod jabłonną urosła, w chałupie strzechą  
poszytej,  
a kiedy stanie pod drzewem, w rozkwitłej  
kрасie dziewczucha,

Rzekłbyś, że siostry dwie kwitną, jabłoń  
i dziewczka urokiem  
krasy Bożych córeczek, dzieci wsi polskiej  
i nieba.

— W tej to ja dziewce widziałem duszę  
ojczyzny zakłątą,  
i przez jej oczy zajrzałem, w ojczyzny serce  
zbolełe.

-- I wołałem, że przez chłopcy  
Wstanie Polska — wolna — żywa!  
Że jasnogórskie okopy,  
Szwedzką krwią przesiąkła niwa,  
że raławickie zagony,  
gdzie wódz chłopski pobił cara,  
że to statut nasz czerwony,  
że to krwią spisana wiara,  
że to nasze dziesięcioro  
przykazań... Duszę chorą,  
Polski duszę rozbolełą  
skrzepmy świeżą chłopską krwią  
podźwignijmy martwe ciało,  
ożywmy je siłą lwia!  
Bo ani przez pasy złote,  
ni przez szablę damascenkę,  
ni przez rozum, ni ochotę  
bujną szlachty, ni przez mękę

dusz, co łyzy wyciska krwawe,  
lecz przez białą chłopstwa ławę  
runą w gruz piekielne moce...

Bo oto już wybiegły przed bielone ściany  
z chałup strzechą poszytych zastępy husarzy!  
zamiast skrzydeł, na barkach bielą się sukmany,  
zamiast kopii, na kosach blask słońca się żarzy  
hufiec idzie jak burza!... i trony druzgoce!

\*     \*     \*

Szkolny dzwonek woła dzieci do nauki...  
Jasne słońce wpuszcza promień do mego pokoju.

Budzę się.

Sady śmieją się kwiatem do słońca złotego,  
ptaki świergocą, ludzie zaludnili ciche przez  
noc pola.

W rękach nie mają broni, lecz radło... nie  
śpiewają chórem grzmiącej piosenki nadziei,  
ale ładne wesole śpiewki wiejskie.

Dzień zeszedł, goście nasi poszli spać do  
grobów, nikt o nich nie myśli.

Tylko drzewa stoją w krasie swojej, chłopci  
pracują, dziewczki kochają chłopaków, zboża zie-



lenia się, a słońce z wysoka grzeje ziemię tak,  
jak przed wiekami.

Przyroda niema, spokojna, jak Bóg, lituje  
się ludziom, że są marzyciele biedni i głupi.

W maju r. 1899.

---



**MAŁY OBRAZEK.**





Tyle życia co jest w pieśni  
Tyle szczęścia co człek prześni.  
*W. Pol.*

Człowiek żyje i czyni we dnie, ale sposobi się do życia w marzeniu w śnie.

Sen krzepi ciało ludzkie do życia dnia następnego, zaduma, w jakiej zatoni człowiek, gdy w cichą noc po pracy dnia całego poleci myślą przez świat i życie, jest „dla myśli winem“, jest jej pożywieniem na dobę życia przyszłą, jest snem dla niej powolnym.

Wspomnienie, obraz przed oczy duszy wywołany w nocną godzinę, zapładnia myśl człowieka siłą czynu, — który spełniony ma być w dniu działania.

Święta noc — to matka życia wszelakiego.

Święta noc — to lekarz ran, które w dniu życia ciało i dusze ludzkie pałą.

Święta noc — cicha noc w domku wiejskim — balsamiczna noc przyrody — gorąca

noc miłości — rzewna, serdeczna noc wspomnień, — noc w której ciało spoczywa a duszę skrzydlaty anioł myśli jak matka dziecię huśta — taka noc to chwila szczęścia.

Jeśli masz w domu wizerunki drogich ci osób, takich, którzy już pomarli, albo takich co żyją, lecz błogim snem zdjęci odpoczywają — to wizerunki te w noc cichą, żyć zaczynają i patrzą ze ścian — malowanemi oczyma gromady myśli wypowiadając.

Ci co pomarli, opowiadają ci jakieś czarodziejskie baśnie z minionych dni szczęścia, ci co żyją wołają na ciebie jakąś pieśnią życia i nadziei.

W noc cichą, noc wonną, w bajeczną, czarodziejską noc przyrody, miękną i tają serca ludzkie. W noc cichą, czarowną przebaczenie wchodzi w tajne zakamarki ludzkich sumień.

„Przyńdzie święta noc, to pogodzi ludzi moc“ powiadają najmędrsi na świecie ludzie, dzieci przyrody — chłopci.

Trzeba im wierzyć i ufać słowom prostej piosenki, bo pieśń każda chłopska, utaiła w sobie ziarnko mądrości, której naprózno od lat wielu już tysięcy szukają mędracy.

Ale mędracy czytują w pisanych księgach i przepatrują myśli tych ludzi co księgi

pisali, — a chłopci słuchają głosu matki przyrody i patrzą w myśl Bożą i widzą ją promienną, myśl mądrości wiekuistej. — Widzą ją w słonecznym życiodajnym blasku i w no-nym cieniu, — słyszą ją w szumie wichru i grzmocie pioruna — czują w sercach ją swoich.

A mędrzy jej napróżno szukają od lat tysięcy. Raz tylko, odwieczna, promienna Myśl Boża zjawiała się na świecie wcielona, a zjawiała się też, w Świętą Noc Narodzenia.

A w Świętą Noc Zmartwychwstania Myśl Boża zerwała ziemskie okowy, co ją zdławiły dla „racy stanu“ i odtąd świeci ludzkości wiecznym promieniem.

Ale mędrzy wątpią i mędrkują, — a tylko dzieci przyrody wierzą w Bożą Myśl wcieloną i żyją wedle niej, tak jak żyją drzewa, morze i żywioł wszelki i wszelkie stworzenie.

\* \* \*

W cichą jedną noc letnią, skwapliwie oprawiałem w ramkę mały obrazek i powiesilem go na ścianie. Powiesiwszy siadłem przed nim a roje myśli otoczyły mą głowę brzęcząc i szumiąc bajeczne powieści.

Na obrazku wyobraziłem był we dnie towarzyszkę życia swego, drogą, najmilszą istotę. W krasnym stroju stanęła w sadu zieleni, a w tle biała chałupy ściana i okienko ciemne malutkie, w zieleń starej gruszy oprawione. — Gdy siedzę teraz i patrzę w obrazek, spogląda na mnie, ta moja najmilsza i przypomina, że obrazek podarować chciałem komuś, kogo nie miłuję. — Ale ona przyszła i powiada: „daruj inny obrazek, ten ostaw, niech w izbie naszej ostanie, bo tam jest twarz moja malowana, a w głębi stary dom, dom rodzinny, ostaw dzieciom ten obrazek“.

Więc obrazek ostawiłem i z nagłością, skoro noc już zapadła, w ramki go oprawiam i wieszam po cichu na ścianie, aby gdy wstanie rano, najmilsza, ujrzała go, że w izbie naszej ostał. I siadłem teraz przed nim. Cisza wielka, cisza ambrożyjskiej wonnej nocy letniej legła na świat, a roje myśli brzęczeć mi koło uszu poczęły.

Przyszło mi na myśl, żeby pięknie barwami napisać ojca swojego wizerunek, jak po zielonym chodzi ogrodzie, a w głębi za głową jego biały dwór, „cichy domek modrzewiowy, otoczony cieniem drzew.“

A potem przyszło mi na myśl, żeby dzieci



moje namalować, jak w sadzie figlują zielonym,  
a w głębi... w głębi...

Nie wiem co w głębi namalować trzeba,  
coś jasnego także — chyba światło samo....  
przyszłość!

Przyszłość i nadzieję !...

O nocy cudna, nocy balsamiczna! oto w cie-  
niów twoich głębi całe mającą mi lata i te co  
w wieczne Czasu skryły się mocarstwa i te  
co przeżywam teraz i te jasne noce majowe.

## I.

Was unsterblich im Gesang soll leben  
Muss im Leben untergehen.

Dziwny mały obrazek!

Dziwne mi w głowie zbudził myśli, dziwne  
zastanowienie!

Przeleciały koło mnie obrazy przeszłych lat  
życia mego, a na nich malowana była stara  
Polska.

W tej starej Polsce żyłem dzieckiem i mło-  
dzieńcem.

Tę starą Polskę uczono mnie czcić, — zwa-  
no ją tradycją narodu i uznano przykazaniem,  
ustawą, wedle której nową budować będziemy.

Bo zawsze tak się dzieje na świecie.

Ludzie znają tylko to, co widzieli. Czyny i dzieje, które się stały, rozważają, snują z nich wyniki, a z wyników układają prawo na przyszłe lata. — Wedle tych praw, zdaje im się, że wszystko w przyszłości pięknie się rządzić powinno i że te nowe prawa szczęście ludzkości ustalą.

Ale gdy już nową napisano ustawę, gdy już pod jej sztandarem staną żarliwe tłumy wyznawców i obrońców, — a naprzeciw odporne zwarte szeregi tych, co nie uwierzyli w nową przykazań tablicę i stary chcą świata przywrócić porządek, dzieć się zaczyna rzecz zgoła niespodziana, nieoczekiwana.

Oto przyroda, odmienna a zawsze nowa, niema bo najmądrsza, drwić zaczyna z praw, które jej przepisał ludzki tłum, i budzi naraz nowe żywioły.

Zatopieni w starem prawie oporni i sfanatyzowani nowemi hasłami wyznawcy — ujrzą naraz nieznanne im jeszcze nowe tłumy, bezładne, kupą biegnące, bez sztandarów, bez hasła, bez „idei“ przewodniej.

Nowe tłumy niosą tylko żądzę zaspokojenia swoich żądań, nieznanych jeszcze nikomu i od starych i od nowych hasła wcale różnych.

Pędzą bezwzględne, uparte, głodne i spragnione, a silne, bezwładnością masy potężne, potrzebą gnane.

I starzy dawnych praw obrońcy i młodzi nowego znaku wyznawcy opierają się najeźdźcom w imię godeł swoich.

Aż ich rozbiją w puch pędzące tłumy, aż zdobędą prawa swoje.

Wtedy tłumy bezładne, słuchać zaczynają wodzów.

Ustawiają się w szeregi, podnoszą na drzewcach chorągwie, piszą na nich nowe hasła i idąc już porządnym szykiem, znowu nowe uchwalają przykazania, oczywiście tem tylko różne od poprzednich, że tylko prawa nowego żywiołu bronią.

I prawa te będą tak długo święte, póki się nie opatrzy tłum, że to co on w pisane już ujął prawo, to jest tylko nazwaniem spełnionego już czynu, minionej chwili dziejowej.

Więc ludzi w chwilach takich, żal ogarnia za starami kształty, co leżą w prochu jak zgruchotane starych świątyń greckich słupy, — ci co nowemi ludźmi się zwali, żałują swojej ubiegłej chwili życia — i przyznać nie chcą, że już w starych, opornych, dawnych praw obroń-

ców szeregi wepchnął ich nowy tłum i wydarł im z rąk chorągwie z napisem „Naprzód“.

I w nocnej dzisiejszej godzinie, gdy patrzę na mały obrazek i gdy myślę jakby ludzi tych dawnych, tych com pośród nich wyrastał namalować, to widzę jasno i wiem dobrze co mam na kawałku płótna wyobrazić.

Gdy patrzę na obrazek, co wisi na ścianie, wiem, zem uczyniłam, to co widzę, co mam koło siebie.

Ale gdy patrzę na dzieci moje... gdy myślę te dzieci też na płótno utrwalić — to zgoła niewiem na jakim je umieszczę tle...

Chyba coś jasnego za nimi namaluję, chyba światło samo... przyszłość.

Przyszłość i nadzieję...

.....

Więc jako słup graniczny świeci mi ten mały obrazek.

Patrząc w niego widzę, jak blednie i we mgłę wieków się nurzy, święta ukochana twarz mojego kraju!

Widzę jak ten tłum ludzki, nowe niosąc hasła, młotami wali w starego domu zręby, oskardem przyciesie podważy i nowej budowie węgielne zakłada kamienie.

Więc myśl mej głowy czepia się uparta, że  
pewnie lepiej mieszkać będzie w nowym domu.

Gdy stara piastowska zwali się strzecha,  
przeniesiemy w murowany dom bogi rodzinne  
i węże święte.

Czy ich tam aby zimno nie zmrozi?

I czy tam długo mieszkać będziemy?

I czy nie przyjdą nowi ludzie co powiedzą:

„Złście te domy pobudowali. — Trza je  
zwalić — bo zimne są i niezdrowe.“

Ale i nowe domy się zestarzeją.

Czas wyszczerbi ich mury i zetrze ostre  
rogi, czerwoną dachówkę przykryje pleśń zie-  
lona, a ściany złotawy pył — ale przedewszyst-  
kiem ludzie, co w nich mieszkać będą długo,  
przywiążą się i umiłują ściany, wśród których  
rodziły się i umarły pokolenia, wśród których  
żył duch ludzki przez Boga tchniony w ciało  
człowieka.

I kiedyś, te nowe domy owionie mgła wie-  
ków i poezyi, bo tam, pośród tych ścian mie-  
szkał ludzki duch i biły serca i żyła myśl...

Ludzie i o tych domach, kiedyś, śpiewać  
będą pieśni.

.....

Obrazku mały, lichy!...

Niech wspomnę patrząc na ciebie, patrząc na jasne, anielskie mej żony oblicze, niech zapomnę lata moje minione i Polskę starą, którą widziałem.

I niechaj patrząc w to jasne oblicze wybiegnę myślą naprzód, po za ciemne przyszłości zasłony, za progi tajemne, zakłęte.

Bo w jasnej anielskiej twarzy widzę i starą Ojców cnotę i czysty silny przyszłości zadatek!

Kiedym po burzach i tułaczce do tej zielonej zawinął przystani, jako rozbitek mizerny, objąłem rękoma łąd i silne zdrowe chwyciłem korzenie drzew lasu dziewiczego.

A kiedym w sadach zamieszkał zielonych, wtedy zesła mi nad głowę świetna gwiazda nadziei..

I tu dopiero ujrzałem, że nad polskimi żywotnymi łąny, ponad skalistym tatrzańskim zębem, ponad szarem morzem na północy i ponad wstęgą Wisły jasną i ponad wieżami grodów i ponad murami więzień i ponad czarną chmurą, co zwisała nad krajem, świeci ognista gwiazda nadziei...

## II.

## Wspomnienie.

„Cichy domku modrzewiowy otoczony cieniem drzew  
jak cię uczcić, brak mi mowy, bije serce, płonie krew“.

„Cichy domku wiekiem zgięty, otulony w żywy płot,  
skarbie uczuć niepojęty, praojcowskich skarbie cnót.“

Szumi w uszach moich stara serdeczna pio-  
senka i widzę świat, w którym wyrosłem.

Widzę każde drzewo w ogrodzie, każdą de-  
skę w podłodze pamiętam, i czuję woń torfo-  
wego dymu z wysokich kominów. I łańcuch  
tatrzański błękitny, skalista korona ponad cie-  
mnym borem i nurt Dunajca siny i pola zie-  
lone i żółty kamieniec! — I wioska czarna gó-  
ralska, ogródkami upstrzona kwietnymi i lu-  
dzie dobrzy, co w czarnych mieszkają domkach,  
to staje mi przed oczy, jak widmo, — tak  
znane — takie miłe i bliskie, a tak już dawno  
minione w życiu!

Żyliśmy tam po Bogu i gdy niedawno, ślepym  
pędzony losem, po latach wielu wpadłem w pię-  
kny dzień czerwcowy do starej siedziby, — to się  
poczułem odrazu w gnieździe rodzinnem, jak bo-  
cian na wiosnę, z podróży powracający dalekiej!

Wybiegali do mnie ludzie z domów i ści-  
skali i płakali...

A gdym spoczął w uścisku starych długowłosych ludzi... tajało mi serce... tajało serce z wdzięczności, że mnie pamiętają, że mnie kochają i że mnie kochać nauczyli.

Bom pośród nich się wychował i oni mnie uczyli kochać, bo za miłość płaci się miłością. Uczyli mnie kochać siebie samych, bo wszystkich w tym domu miłowali szczerze, i uczyli kochać szmat kraju i ziemi rodzinnej, bo byliby zdrowie i życie za nią oddali.

I widzę dalej tych ludzi, długowłosych, co z ojcem i krewnym poszli byli niegdyś tam, gdzie ich ze sobą pozwał, a gdzie grzmiały działa i płynęła polska krew.

Oni uczyli mnie kochać wieś rodzinną i ziemię czarną, a ojciec uczył ich, że wieś rodzinna jest szeroką i długą, bo „od Tatrów aż po morza legła“...

Więc poszli z nim razem i za kraj ginęli... I przypominam chwile, kiedy nas obu, wraz z bratem, uczono. — A najpierwej uczono nas „pieśni o ziemi naszej“.

Bo Matka najpierwej zaraz po pacierzu, nauczyć nas chciała, jak mamy kochać ojczyznę.

I do dziś płaczą mi się w pamięci, serdeczne rymy... co mi były katechizmem miłości kraju i ludu.



Więc „bije mi serce i płonie mi krew“ gdy ujrzę w marzeniu nocy wonnej stary dom rodzinny w pośrodku drzew stuletnich, — bo to skarbnica moja była i szkoła miłości... najsilniejszej, najgłębszej, jedynej miłości młodocianej. miłości kraju.

A gdym stracił tę skarbnicę, poszedłem w świat, szukać, coby mi skarb utracony zastąpić mogło.

A przeleciawszy świat, gdzie wielkie miasta i mądrzy ludzie, gdzie wiele rozumu i gdzie są uczeni, co powiadają, że mądrość ludzka wszystko na świecie wytłómaczy, — poszedłem do nich, aby uleczyli zranione serce moje swą mądrością.

Mądrzy ludzie opowiadali, że na świecie są ideały różne i różne dążenia.

Opowiadali ci mądrzy ludzie, że w dążeniu leży szczęście człowieka i że kochać trzeba nie człowieka, nie ziemię, ani nie wicher wyjący po cieninym borze — ani nie mowę swą ojczystą, ani nie zieleń ojczystych drzew, — ale umiłować trzeba ideał.

Więc uwierzywszy słowom mądrych ludzi, postawiłem sobie celca, którego nazwałem ideałem i głosiłem, że on jest większy i mędrszy od praw odwiecznych przyrody.

Ale w sercu mem pusto było i czarno, i w jakiejś małej jego komórce, pokutowała, jak duch nieczysty: tęsknota.

. . . . .

### III.

W miastach wielkich nagromadzone są skarby mądrości ludzkiej.

Są tam ogromne zbiory ksiąg, w które wszelką myśl ludzką zamknięto i wielu jest ludzi, co się przez życie całe w te spisane ludzkie myśli wgłębiają.

Są w tych miastach piękne, wielkie budowle, gdzie zgromadzono, za wielkie pieniądze, mnóstwo obrazów i posągów. — Są ogromne zbiory dzieł martwych, w których, kto chce dojrzy myśl człowieka zakłęta.

I wielu, wielu jest ludzi, co idą tam szukać myśli.

Ci ludzie stają w niemym zachwycie, przed nędznie przez człowieka przetłomaczoną okruszyną myśli Bożej. — Stają jak w kościele jedni — inni, rozkoszują się widokiem posągu jak piękną kobietą lub winem starem.

Są też tam pałace, gdzie w salach wielkich,

pełnych ludzi wytwornych, człowiek jeden popisuje się grą, bardzo misterną.

W tych salach widzieć można ludzi płaczących, jakby im umarł kto drogi, wpadających w szal osobliwy, klaszczących w dłonie i pijanych dziwnem uniesieniem.

A mistrz co grał tak misternie, że ludzi o utratę spokoju przyprawił, chodzi jak półbóg szczęśliwy, jak mocarz dumny.

Pobudowano w tych miastach wielkie domy, gdzie handlarze sprzedają towary.

Powznoszono chramy dla sprawiedliwości, a na ścianach do lica wyobrażono Temidę z wagą i z mieczem. W tych to chramach ludzie smażą sobie mózgi, żeby zaprowadzić na ziemi sprawiedliwość, a sieją krzywdę i ból.

Jedną tylko pożyteczną przedsięwzięto pracę. Oto są ludzie, co badają tajniki przyrody, aby posiadłszy je, mogli drugim ludziom pomóc, gdy niemoc ich ciała opanuje. — Ale i ci wierzą wpisane recepty więcej niż w odwieczną praw przyrody mądrość, więc choć dobrze chcą — błądzą.

Kazano też tam ludziom wierzyć, że Bóg, tylko w murowanych mieszka świątyniach i że tylko przez poświęcone sługi Swe, ludziom przedwieczne niesie miłosierdzie. A Bóg, prawami Swemi do nas mówi przecie!

Mówi do nas Bóg prawem ciążenia w przepastnych kosmicznych przestworach, mówi do nas Swemi żywioły i prawem rozmnażania się i rozwoju i prawem, które zaszczerpił w duszach ludzkich t. j. prawem miłosierdzia nad słabszymi i nieszczęśliwymi i woła na nas całą, odwieczną, najświętszą, mądrością przyrody!

Dziś rano, a była niedziela i słońce ozłociło świat czerwonym blaskiem, widziałem chłopca starego, jak w czystej koszuli wyszedł w pola, głowę odkrył i modlił się w żarze słonecznego światła.

W kościołach właśnie śpiewano sumę i grały organy — a na świecie w pustych od ludzi polach była niedziela — i nabożeństwo.

Bo pod olbrzymiem błękitnem sklepieniem grzał ziemię ogień słoneczny, na chwałę Panu dzisiaj zapalony, słaniały się zboża po łanach, drzewa modlące ramiona powyciągały do Boga i przyroda głosów tysiącem śpiewała pieśń. — W pośród pól zielonych stał cicho stary chłop i tonął w modlitwie.

Wtedy przyszło mi do głowy, że ludzie pochyleni kornie w kamiennych kościołach, wznoszą swe dusze w czasie nabożeństwa a wznoszą je aż do wysokości sklepiennych zworników świątyni, kiedy stary chłop, co się mo-

dli w olbrzymim przyrody kościele, wznosi swą prostą duszę, aż ponad obłoczne stropy z błękitu.

A w życiu i w dnie powszednie ludzie szukają myśli Bożej tłumaczonej przez ludzką myśl i patrzą na obrazy, — a chłop syn ziemi patrzy wprost w dzieło stworzenia.

Mądrzy ludzie szukają sprawiedliwości w ustawie, a chłop syn ziemi we własnym sumieniu.

Ludzie mądrzy, chcąc nieść ulgę choremu, piszą uczone recepty, a dzieci ziemi znają ziółka przedziwne i wodę, co leczy niemoce.

Ludzie mądrzy chcą kochać takie kobiety, co o wielu rzeczach pięknie mówić umieją, a o miłości wytworne prawią rozmowy i dusze mają wydoskonalone — a chłopak wiejski, syn ziemi czarnej, — szuka i pragnie uścisku dziewczyny kochanej.

#### IV.

Mędrzy Pan Bóg  
niż pan Rymśa.

Ludzie, co oddalili się od życia przyrody, a żyją sztucznym życiem kultury podobni są ptakom w niewoli posadzonym, które śmieją się z głupoty ptaków wolnych, że latają szeroko skrzydła rozłożywszy i nazywają je dzikimi.

Ludzi takich mózgi, nie rodzą już myśli, ale wydają na świat dziwny płód, który w pięknej naszej mowie nawet nazwania nie ma, tj. doktrynę.

I ci ludzie, co rozum czerpią z książek, znajomości życia z teatru, a zdrowie z apteki, powiedzieli, że chłop jest głupi, bo żyje z przyrodą, a my jesteśmy mądrzy i musimy ustanowić dla niego przepisy jak żyć powinien.

Więc długich wieków zdobycz: doświadczenie wiekowe, które chłop ma, nazwano uporem, a rozum z przyrody zaczerpnięty, — głupotą.

Więc poczęto chłopu niemieckie i francuskie chwalić obyczaje, **wyśmiano jego piękną bogatą mowę**, a zalecono mu w szkołach uczyć się śmiesznej i ubogiej mowy książkowej.

Dzieci wiejskie, czytając książeczki z powiastkami, dla miejskich układanemi, śmieją się i z powiastki i z nauczyciela, który im czytać je każe.

Ale co pewien czas, ludzie w miastach zbliżywszy się przypadkiem do przyrody, spostrzegają się, że doktryna źle ich prowadzi. Więc głosy podnoszą i wołają: źle było, wracamy!

Swego czasu powiedziano chłopu, że jeśli chce być mędrszym niż jest, niechaj wytepi to

bydło, co mu Bóg i przyroda dała, a niechaj sprowadzi sobie doskonale z Holandyi i gór Szwajcarskich. — Krzyczano, że chłop głupi, bo tego uczynić się wzdragał, ale gdy go wreszcie, bodaj czy nie ustawą — zmuszono, bydło własne wytępił, zaprzepaścił rasę i chowa dziś krowy holenderskie. Ale mądrzy ludzie po miastach przyszedłszy po rozum nie do głów ale do ksiąg, znowu zauważyli, że lepiej będzie bydło chować takie, jakie przyroda w tym kraju mieć chciała, — więc znowu na chłopą wołają: wróć do twego starego bydła! — głupcy byli, kto cię uczył!

Tak dziś i z mową starą ojczystą będzie, bo już dziś uczeni powiedzieli, że nie ta co już napisana, ale ta co żyje nieskażona, czysta polska mowa w chłopskich ustach, jest źródłem i ostoją rozwoju polskiego języka!

Usunięto chłopu dym z chałupy, ale nie uczyniono nic, aby usunąć zarazę, którą dym od wieków tępił w chałupach. — Zakazano wójtowi po ojcowsku ukarać zuchwalca, ale wydano wiejskich parobków żandarmom, aby bili kolbami i poniewierali w nich godność człowieka, wydano ich sądom, otwarto dla nich więzienia, gdzie chłopak niewinny wchodzi ale zbrodniarzem wychodzi!

Pobudowano fabryki i dano biednym robotnikom lichą płacę, prawie taką, aby zdrowie zniszczyć mogli, ale wydarto z rąk ludu, cały przepiękny przemysł, dzieło nie tylko rąk, ale ducha.

Ale to wszystko zwie się dbałością o lud, i czi się takich, co się ludem zajęli i uczą go.

Bodajby kiedyś lud nie cził tych nauczycieli tak, jak czerwonoskóry indyanin czi pamięć Corteza, Pizrara i wszystkich angielskich i hiszpańskich zbójów, co dla upiora kultury nieśli w dziewicze lasy Ameryki śmierć, handel, zarazę i cywilizację!

Ale ze wszystkich doktryn, jedna zacieżyła nad światem najbardziej i najgroźniej!

Zowie się ona prawem, uchwaloną przez większość ustawą i wkracza w postaci zbrojnego żołdaka w ciche i święte tajnie domowych ognisk, gwałci ludzką wolę, którą człowiekowi dał Bóg i pięścią żelazną zgina karki w podłe jarzmo niewoli!

A tymczasem bożek złota złośliwy wszędzie najpiękniejsze ma świątynie i najwięcej w nich ludzi — a Potęga, Zdobycz, Państwo, Idea i Postęp na wspaniałych poumieszczano tynach.

W Polsce, rozsiadła się, jak niegdyś oligar-



chia szlachecka — druga oligarchia, jak z mora, jak upiór czerwony i straszny.

Szlachty dziś już nie ma, bo grzech swój zapomnienia o ojczyźnie, zapłaciła mieniem i życiem.

Ale dzisiejsza garść gnębieli z wie się inteligencją albo klasą ludzi wykształconych.

Tej szlachty herbem jest doktrynerskie wykształcenie szkolne, — szablą, pieniądz — służalstwo, honorem.

Ten nowy oligarchii rodzaj gorszy jest od dawnego, bo bardziej od dawnej szlachty, pogardza niewykształconym, a składa się on z wielu obozów.

Są tam magnaty i demokraci, są wsteczniczy i wolnomyślni, są bogaci i ubodzy, jest zbytek i nędza, zbrodnie, występki i cnota, rozum i głupota i wszystkie skrajne ostateczności, jak w arce Noego przechowane.

A wszystko to razem, gardzi chłopem i nienawidzi go w rzeczy.

Wszystko to pragnie Polski wolnej, albo jakiegokolwiek przemiany i chce to uczynić chłopskimi rękami. — Ale najskrajniejszy demokrat wykształcony i inteligentny, nie pocałuje ręki pocziwej chłopki, matki dzieciom, przyszłym Ojczyzny zbawcom, — a zato całować

bedzie stopy nierządnic, lub nerwowo drżące wilgotne ręce histeryczek i waryatek o bardzo wyrobionych duszach.

Tacy Polacy, przychodzą na wsie, zakładają szkoły i uczyć pragną chłopca miłości Ojczyzny.

Jedni z nich pragnęliby, zbudować chłopskimi rękami Ojczyznę, aby później chwycwszy ster rządu, strącili żywioł chłopski do izb, gdzie niewolnicy i służba mieszkają.

Inni pragnąc przeobrazić ustrój społeczeństw, także chłopskimi chcą tego dokonać dłońmi, ale, aby tego dokonać, chcą chłopca naprzód zubożyć, odebrać mu ziemię, bo wtedy dopiero poprze on pięścią z rozpaczą i z głodu dążenia nowych doktrynerów.

A jeszcze inni ciągle wołając, że w chłopie jeszcze nadzieja odbudowania umarłej Polski, idą uczyć chłopca miłości Ojczyzny. — Tłómaczą mu, że trzeba kochać Polskę, tę w obłokach, na obrazku i w książce lub gazecie, ale na to, aby ją odbudować, trzeba stać się chłopem niemieckim.

Trzeba zaniechać chłopskiej czystej mowy, a nauczyć się mieszanej gwary książkowej, zapomnieć starosłowiańskiego obyczaju, a przyjąć obyczaj niemiecki, rzucić starą słowiańską

strzechę a zbudować sobie niemiecką osadę, — porzucić polski strój, a wdziac niemiecki, w którym przy roli tak niewygodnie i tak ciasno polskiej duszy.

Ci wszyscy ludzie, kochają ojczyznę, nie tę co jeszcze została, co z rozbicia ocalała, ale tę co już minęła i nigdy nie wróci, albo jakąś Polskę wyrozumowaną, taką, jakiej w istocie rzeczy być nie może nawet.

Więc walczyć chcą o prawa przyrody i wskrzesić co umarło, albo narzucić miejscowej przyrodzie szatę cudzą.

Ale tej Polski i tej Ojczyzny, co żyje, silna młoda i śliczna, nie widzi nikt, ani widzieć jej nie chce.

A ona żyje, taka, jaką ją mieć chcemy, jaką w marzeniach, widzimy w długie noce, taką Polskę mamy pod bokiem, nieskażoną jeszcze do głębi doktryną, jeszcze nie zupełnie zepsutą cywilizacją i nie zupełnie ogłupiałą. Jeszcze ona żyje po wsiach polskich, w strzechy słomiane spowita.

I ta Polska wie, co jest patriotyzm prawdziwy i zbożny.

Ta Polska wie, że miłość Ojczyzny, to nie książkowa doktryna, ani nie mara przez poetów śniona, ani żal za tem co bezpowrotnie minęło, ale miłość Ojczyzny, to miłość ziemi i chęć jej

posiadania, miłość i przywiązanie do obyczaju i myślenia polskiego i miłość mowy ojczystej nieskażonej.

Czy tego uczyć chcecie chłopca?

Wszakże wy nie macie już ziemi i nie przywiązujecie się do niej, nie znacie jej uprawy! Języka i mowy nie macie już polskiej, czystej i nieskażonej — bo wszystkich myśli, nie możecie wyrazić swą mową, lecz posługujecie się obcemi słowami, zwroty nieraz całe z cudzej przekładając mowy!

I nie ma już u was Polski w myśli i obyczaju — to każdy odrazu pozna i poczuje, gdy zetknie się z chłopem, z którym już gadać nie umie.

Nie zna już nikt starego obyczaju — i rażą go chłopska rzecz i zwyczaj, bo i strój i obyczaj i myśl, od cudzych pożyczyl, swego przepomniawszy.

Jesteście jeszcze wy do kordu rażni,  
jesteście jeszcze wesolej starości,  
jesteście jeszcze w ubiorach pokaźni,  
są jeszcze u was ludzie sercem prości.  
Ale już niema u waszego proga  
ludu, co wnosil pieśń i imię Boga.

Cnoty, uczciwości i miłości drugich, niema już między wami! — bo życie w miastach, ży-

cie w wirze spraw publicznych i zdrożnej polityki, bo nędzne życie w zadusznych biurach, zgnilizną cuchnących szynkach i parnych teatrach, obłuda i rozpusta salonów — ciasne życie biblioteki, podłe życie handlarskie i sztuczne życie sztuką — to wszystko zacieśnia wiidnokreęi myśli ludzkiej i krzywi w zarodku przyrodzone serca popędy, mąci zdrowy sąd.

Więc wy, co dobrze pragniecie, co chcecie nie dla stronnictwa ale dla kraju pracować, co chcecie nie dla miłości oporu lub polityki, ale dla ludu i Ojczyzny co robić, wy, ludzie, co dobrze chcecie, porzućcie doktrynerskie zarozumialstwo i podufałość, a zbliżcie się z dobrą wolą i wiarą do starego, starszego od was pewnie, tej ziemi dziedzica.

Poznacie, że nie brak szkolnego szablonowego wykształcenia jest przyczyną, że chłop często błądzi, ale zapomnienie i zaniedbanie go przez społeczeństwo cywilizowane — ale niewiara tego społeczeństwa w rozum i doświadczenie wieków, które chłopu dała przyroda.

A złe, które wślizguje, się jak wąż pomiędzy wiejskie opłotki i czyha na sposobność szkody we wilgotnej sadow głębi, jest często i najczę-

ściej nie we wsi urodzone, ale przywleczone z kulturalnych miast.

Przyczyną pożarów nie są strzechy słowiańskie, pod którymi ze względu na zmiany w przyrodzie i doświadczenia wieków, lat już tysiące zdrowo i bezpiecznie mieszkają pokolenia — ale pożary idą w ślad za wódką i tytoniem, trucizną niosącą zwyrodnienie, budującą most do pijaństwa, zatruwającą ciała dzieci nieletnich i ludzi dorosłych.

Nie strzechy zrzucić, — ale tytoń wywalić z kraju, na który tyle idzie grosza, nie domy zdrowe i higieniczne burzyć i wioski, gdzie zdrowie i czerstwość mieszkała, na brudne, wstrętne przemieniać miasteczka, ale zawierzyć chłopskiemu rozumowi i doświadczeniu wieków, a tylko zamknąć kraj murem chińskim od zgubnych skutków życia, w którym zapomniano o prawach przyrody.

Bo przecież co dzień widzimy powrót do życia według praw odwiecznych.

Wszak dziś już wodę, której tak długo bała się medycyna, uznano za przyrodniczy, silny, a ustroju nie psujący czynnik leczniczy, a hartowanie ciała i oswajanie go z wpływami przyrody za lepszą higienę od obawy zamoczenia obuwia i owijania się watą jak lalki sklepowe.

Powietrze jest przecież już i przez medycynę uznane za najdzielniejszy lek. Ale go już wiele nie będzie w kraju, gdy wioski staną się miasteczkami.

Ani doświadczeniem nie gardźcie chłopskim, wy, ludzie, co dobrze chcecie, bo to jest nauka, którą chłop odebrał od najmędrszego w świecie nauczyciela, od życia w przyrodzie i jej prawach, które zna on lepiej od mądrych fizyków, smażących w szklanych naczyniach małe okruszyny olbrzymiego świata. Ich doświadczenie pisane w księgi, jest takie małe, jak właśnie okruszyna kruszcu, topiona w kuchni chemicznej, tak martwa, jak rachunek suchy.

A doświadczenie chłopca to szerokie doświadczenie człowieka, co za pan-brat z przyrodą żyje od wieków, nie boi się jej, bo ją rozumie i zna.

## V.

Trzeba z żywymi naprzód iść  
Po życie zdążyć nowe —  
A nie w uwiedłych laurów liść  
Z uporem stroić głowę.

Ale mówmy spokojnie.

Polacy osiedli na pograniczu dwu wpływów  
jakby na grobli pomiędzy dwoma wielkimi,

ciągle brzegi zalewającymi morzami, pomiędzy wpływem Wschodu i Zachodu.

Spokojny, miękki, słowiański naród, ma wprawdzie w sobie zadatki na wytworzenie własnego typu cywilizacji, ale wrażliwość wrodzona Polakom i łagodne słowiańskie usposobienie, właściwa narodowi lekkomyślność i brak dzikiej żądzy zaborów, są przyczyną, że Polska ulega naprzemian raz jednemu, raz drugiemu wpływowi.

Piastowska, rosnąca w mocarstwo Polska, była nawskróś zachodnią, a Kazimierz Wielki, ostatni w Polsce organizator, był w całym znaczeniu słowa Europejczykiem a... sit wenia verbo... i doktrynerem.

A jednak Polska Kazimierza Wielkiego, choć pewnie więcej, niż dziś zalana żywiołem niemieckim, choć bronić się musiała umyślnie w celu obrony ustanawianymi prawami przed butnymi uroszczeniami niemieckiego mieszczaństwa, choć sama stolica, serce Polski, brzmiała cudzoziemską mową, to jednak ta Kazimierzowska Polska niemiecką się nie stała.

Wziął ją był drewnianą Kazimierz, a zostawił murowaną. Wziął ją był słabą i wycieńczoną długim bojem, a zostawił silną i zdolną wyrósć we wielkie Jagiellońskie mocarstwo.



A pewnie i poprzednicy wielkiego króla niejedną, typowi narodu przeciwną doktrynę przynieśli na tę słowiańską ziemię i ani Wacław Czeski, ani Śląscy książęta nie myśleli bronić ginącej odrębności narodu, owszem narzucali mu zachodnią kulturę.

Jak dziś giną po wsiach stroje i strzechy polskie, giną starosłowiańskie gusła i przesady, pełne fantazyi i poezyi pierwotnej, ustępując miejsca pozytywnej kulturze i racjonalnym jej objawom, tak w piastowskiej dobie kraju, ginęły też drewniane podcienia miast i stare małe świątynki, a wznosiły się za to „modernistyczne” naówczas, gotyckie katedry, murowały miasta.

Nie możemy dziś ocenić, czy ginęła i wówczas właściwa Polsce poezya ziemi słowiańskiej, chyba, że tak być musiało i chyba, że w jednym sercu marzycielskiem żal się zbudził za dawnem kraju obliczem i obyczajem starym.

Humanum est.

Ludzie żałują zawsze tego co minęło i zawsze to, czego już niema, wydaje im się piękniejszym, niż nawet może było.

Ale za Kazimierzowskich czasów nie ciążyła nad Polską niebezpieczna chmura, z której dziś grmią coraz nowe gromy zagłady dla narodu.

Wpływy cudzoziemskie nie były niebezpie-

czne, przynosiły tylko zdobycze cywilizacyjne, nie krusząc podstaw istnienia narodowego.

Czy dzisiaj tak jest?

Wierzymy silnie, że burza zegnie może drzewa w polskich sadach, niejedno przewróci, niejednen z domów zerwie dach, ale przejdzie i kraj po niej w promieniach słońca wolności ożyje.

Że jednak trudniej nam dzisiaj utrzymać to co istotę Polski stanowi, niż za Kazimierzowskich rządów — o to chyba sporu niema.

Wpływy i burze z Zachodu i Wschodu ciągnące, rzuciły się teraz na ostatni do życia zdalny żywioł w Polsce, na wychodzący na widownię dziejową Polski lud.

Ostatnia to stawka w okropnej naszej grze o życie!

Jeśli ją niebacznie na fałszywą postawimy kartę i stracimy, to już nas chyba los graczy z Monte Carlo czeka.

Więc baczyć trzeba pilnie, by się szatańskie życzenie Żelaznego Księcia nie spełniło.

Wieki i lata mijają, a w ich pochodzie zmieniają się ludzkie twarze i twarze narodów. — Zmienia się i Polsce twarz.

Szlachta skończyła już dawno swą rolę dziejową i już ją osądziła historia.

Mieszczaństwo przyszło z doktrynami zachodu, by ująć ster nawy rozbitej, ale czy źle się wzięto do rzeczy, czy fatum nieubłagane stanęło na przeszkodzie, czy też jeszcze nie wypełniły się dni... prędko ustąpić musiało steru, zostawiwszy po sobie zawód, rozczarowanie — ale przyznać trzeba i pewien dorobek umysłowy.

Jak teraz i dokąd powiedzie nas lud?...

Typowe poetyczne wsie polskie, Kościuszkowscy chłopcy w sukmanach, wiejskie „gospodie takie wdzięczne i urocze“, bajeczne pastuszki z rzewną pieśnią fujarki wierzbowej, piastowskie, strzechą poszyte siedziby, pełne naiwnej fantazyi parobki — nawet rosochate wierzby z dyabłami, znikają, giną i niedługo już tylko może gdzie w ustronnych wioskach Świętokrzyskich gór, lub w jakim zakątku Mazowsza szukać trzeba będzie polskiej wsi.

Wraz z tą zewnętrzną szatą ginie też i głębszy kraju charakter, a niszczy go i tępi ustawa, dla innego typu społeczeństwa ustanowiona i będąca wpływem charakteru innego wcale narodu.

Cudze pojęcie prawa i porządku paczy i krzywi przymioty charakteru polskiego chłopca, jak każda teoretyczna doktryna nie uwzględnia-

jąca ani miejscowego typu ani warunków rozwoju, wynaradawia go i demoralizuje.

Spółeczeństwo chłopskie dziś jeszcze pa-tryarchalne pierwotne, wyrobiłoby sobie niewątpliwie właściwy dla siebie porządek społeczny, w którym rozwinąćby się mogło jak najkorzystniej.

Jak się ono rozwinię, wtłoczone w ramy obcego typu ustaw i pojęć — tego jeszcze przewidzieć nie można.

Ale polskie plemię jeszcze jest silne i jeszcze nie tylko nie ginie, ale przeciwnie rośnie.

Przez to plemię przeszła już niejedna burza dzisiejsza i niejeden prąd startł się z drugim na tej nieszczęśliwej ziemi, na tej grobli pomiędzy morzami.

A przecież, w perspektywie dziejów, typ polski widnieje zawsze tensam, nieskażony, czysty, owszem nieraz zahartowany walką i nieraz zubożony zdobyczą zachodniej kultury.

I jak Kazimierzowskie miasta, choć po go-tycku niegdyś stawiane, pozostały polskimi, a nawet zatarły ślady niemczyzny, tak i wsie polskie dzisiaj, może niejedno co piękne i miłe sercu polskiemu utracą, ale polskimi być nie przestaną.

Owszem, przetłomaczą wpływ zachodu na

polski język i polską myśl i stworzą nowy własny typ zewnętrzny i własną drogę zbudują dla myśli.

Ginie dziś polski typ zewnętrzny, chłop polski porzuca swą piękną malowniczą szatę i poetyczny obyczaj, ale za to potężnieje poczuciem obywatelskiem, poczuciem, że i jemu się należy udział w dziejach] Rzeczypospolitej.

Jest to okres, w którym gąsienica owadu zwinęła się w brzydką dziś jeszcze poczwarkę, pięknego, żywemi barwy zdobnego owadu my pewnie dziś nie ujrzymy jeszcze, ale ujrzy go kiedyś Polska, co tak jak i lud „zrzuci do ostatka te płachty ohydne, tę Dejaniry płonąca koszulę“ i wstanie „nagością żelaza bezczelna“, typu się swego i myśli się swojej nie powstydzi, jak dzisiaj, bo pewną będzie, że myśl ta polska coś warta na świecie, stanie wraz z ludem „naga w styksowym wykąpana mule... niezawstydzona niczem, nieśmiertelna“.

## VI.

### EPILOGOS.

Więc na obrazku, na którym wiejskie wyobrażę dzieci, ani starego nie umieszczę domu, ani chałupy w sadzie zielonym.

W tle namaluję tylko światło samo... Przyszłość... Przyszłość i nadzieję...

Jak dorosną, to im pozostanie obrazek mały, gdzie Matkę wymalowałem, jak w krasnym stroju stanęła w sadu polskiego zieleni, a w tle biała chałupy ściana i okienko ciemne, malutkie, w zieleni starej gruszy oprawione, bom wedle jej życzenia „dzieciom ostawił ten obrazek“.

Może one w tym miejscu kiedyś inny postawią dom, może ja stary, co starą Polski pamiętam twarz, w tym domu już mieszkać nie będę, może mnie już on się tak pięknym nie wyda, jak stara wydęta chałupa, strzechą piastowską pokryta.

Ale wierzę, że choć nie wiem jaki ten dom będzie, co go dzieci postawią kiedyś, wierzę, że będzie on polskim, że wymiecione z niego będą śmieci i złego nasienie, a jeśli go dobrzy wybudują cieśle, to przypomni ten dom nowy Kazimierzowe gmachy, w których nowa, wielka potężna i święta zamieszkała Polska, — zielone Polski przypomną się w tym domu lata!...

Więc w tle namaluję tylko światło samo... Przyszłość... Przyszłość... i nadzieję...

---

**Z POWODU ZAWIĄZANIA SIĘ  
STOWARZYSZENIA POLSKIEJ  
SZTUKI STOSOWANEJ.**





Z chwilą kiedy umarł pozytywizm, przenikający wszystkie objawy życia, sztuka, to dziecko najwyższego idealizmu, zaczyna panować na świecie i zdobywa sobie coraz szersze koła wyznawców i miłośników.

Pozytywistyczna epoka kilku ostatnich dziesiątków lat ubiegłego wieku wydała wprawdzie kilku wielkich u nas artystów, a nawet geniusz Matejko żył za czasów racjonalistycznej reakcji, co opanowała Polskę po krwawym dramacie sześćdziesiątych lat, — ale Matejko, siedząc zamknięty w swej pracowni, żył jak tajemniczy jakiś kapłan, mag, jak Twardowski. — „Majster Jan“ nie obcował ani ze światem żywym, ani z jego prądami, — siedział dzień cały w towarzystwie wielkich pomarłych heroów, symbolów różnych myśli, które wrzały w mózgu tego niezwykłego człowieka, ale oczy miał na świat zewnętrzny zamknięte.

Sztuka zaś jemu współczesna, błędziła wśród pozytywistycznych teoryj i doktryn, jak wędrowiec, nie mający gdzieby głowę skłonił. — Broniła swego prawa do życia i chciała się przystosować do świata, który jej mieć nie chciał i tylko z uśmiechem politowania tolerował.

Sztuka była zbytkiem.

Aby zaś umotywować, że jednak jest na coś potrzebną, że przynajmniej wyraża jakiś typ swej epoki, że jest syntezą ostatecznych dążeń współczesnej ludzkości, sztuka poszła drogą racjonalnego naturalizmu, a wielcy jej przedstawiciele głosić poczęli zdanie, że: byle rzecz była namalowaną prawdziwie i ze złudzeniem natury, to przedmiot, myśl, bajka, schodziły już tylko do znaczenia karteczki z numerem katalogu, przyklepionej na ramie obrazu.

Tak pojmowana sztuka była więzieniem dla dusz, gehenną mąk dla nigdy ze skrajnym realizmem niezgodzonych ustrojów artystycznych, była tnąciami loty nożycami dla uskrzydłonych duchów.

My wszyscy podówczas młodzi, tarzaliśmy się i ciskali w srogiej rozterce i gubili w setkach teoryj, z których żadna nie odsłania rąbka grubej zasłony, dzielącej nas od szerokich jasnych widnokręgów, gdzie myśl nosić może

duszę ludzką poza obręb doświadczeń pięciu ludzkich zmysłów.

A dojrzałe wówczas, tytaniczne postacie jak Matejko i przywódcy, fanatycy realizmu, jak Gierymski, walili w siebie gromami. Matejko nienawidził sztuki Al. Gierymskiego, gardził nią jak fotografią, strzegł szkołę przed jej wpływem, jak stróż znicza świętego, – ołtarz swój przed wodą, co płomień boży zalewa.

Gierymski, który wierzył tylko w nieubłaganą logikę natężenia światła, ciskał się nerwowo, jak przywalony przez olbrzyma słabszy siłacz, i nienawidził symbolu, jak dyabeł święconej wody.

A mimo to i Gierymski nie wszedł, nie trafił na drogę, która daleko słuszniej, niż naturalizm, usprawiedliwia, demokratyzuje i uprawnia do bytu sztukę.

Prócz hasła, że sztuka jest dla nas niepotrzebnym jeszcze zbytkiem, epoka miniona przyniosła jeszcze niewiarę we wszystko, co się w kraju robi, lub robić może, bezgraniczne uwielbienie wszystkiego, co jest tylko zachodniem, poczucie upokorzenia, że jesteśmy tak nikiemnym, ubogim, do żadnej własnej kultury niezdolnym narodem.

I tutaj znowu, nie kto inny, tylko nieśmiertelny „mistrz Jan“, jako biblijny Jan Chrzciciel, rzucał w ciemną noc beznadziejnego zwątpienia ogniste pioruny nadziei, grzmiące słowa ufności i wiary w siłę twórczą narodu i ciągle wołał, jakby wieszczym opanowany duchem, że przyjdzie czas, kiedy artyści polscy przestaną wierzyć w niemiecką i francuską sztukę, a przyjdą do przekonania, że jeśli chcą mieć jakąkolwiek, jeśli ta ich sztuka ma być w świecie cenioną, to zrobić ją trzeba w kraju i wyrazić nią własny typ.

Bo mistrz, co nowy światu stworzył kształt i z myśli jego „trysnął nowy duch i forma nowa“ — ten mistrz ma w dziejach sztuki *monumentum aere perennius*. Ale tłumy bezduśnych naśladowców jego przepadają w toni czasów bez wieści.

I naród, z którego myśli tryska nowa własna forma, własny duch, znaczący coś w zapasach na arenie dziejowej. — Ale znowu, naród naśladowców, naród, co własnego typu nie wyraził własną formą, jest helotą kultury i nie pozostanie po nim *nec locus, ubi Troia fuit*.

Artystyczna młodzież polska, spędzając długie lata za granicą, przebywa najpiękniejszy wiek rozwoju w otoczeniu, które zabija w niej

odporność na wpływy i dusi zdolność wyrażania się własną formą, niszczy jej indywidualizm.

Nie majster, nie profesor, u którego się uczy młody artysta, nie szkoła, gdzie jeden nauczyciel poprawia modela, ale życie wśród obcej myśli, ale fakt, że zwolna zaczyna się samemu tą obcą myślą myśleć i obcemi oczyma patrzeć, jest najniebezpieczniejszą trucizną, zabijającą w zarodku wielkie nieraz zdolności artystyczne.

A historia sztuki co ma z tych ludzi?

Niestety, dzieje nawet o nich nie wspomną, chyba uczony niemiecki profesor, co życie całe strawi nad ułożeniem alfabetycznym nazwisk nieznanych malarzy, nieznanych narodów.

Historia jednak to martwa teoria, więc mniejsza o nią, ale naród, co żyje i co nie patrzy w tył w ponurą noc wczorajszego umarłego dnia, w grób tego dnia przykryty pyłem, ale patrzy we wschód życia i chce życia, nie dziejów, — naród, wydając ze siebie ustroje twórcze, żąda od nich twórczości, żąda czynu samodzielnego, a nie chce tylko reprodukcji cudzych myśli i kształtów.

Na szczęście, naród przespał już chorobę

upadku i zwątpienia i żyć zaczął i to zaczął żyć chyba lepiej niż dawniej.

Bo uwierzył we własne siły i własne zasoby a wiara i optymizm w niej są podwaliną przyszłości.

Kto co robi, ten robić powinien z wiarą, że to, co robi jest doskonałem, inaczej nie zrobi nic. — Krytycyzm przyjść powinien już po skończeniu dzieła — bo zarozumiałcem jest nie ten, co tworząc, wierzy, że stworzy arcydzieło, ale ten, co skończywszy uważa swoją produkcję za doskonałą,

Przeciwnie, prawdziwy artysta, wierzy tak długo jak buduje, a skończywszy, wpada w rozpacz, że zrobił źle i zabiera się do drugiego dzieła, aby je zrobić lepiej i wchodzi znowu na nowy szczebel nieskończonej drabiny.

Przejawem tego przebudzenia się narodu jest nagle zjawiona, jak jutrznia lepszych dni promienna, wiara w siłę i wartość narodu.

Ta jutrznia zjawiała się wraz z wejściem na scenę dziejową nowego żywiołu, silnego, młodego, co ma „gardzący śmiercią wzrok, życia rumieniec“.

I naraz inteligencja polska, która nie знаła właściwie tego żywiołu, nie wierzyła w jego

wartość, zaczyna czuć się podnieconą, upajać się ruchem jego.

Widać to w każdym objawie życia, widać i w sztuce.

Równocześnie i sztuka, ta sztuka co w czasach pozytywizmu i teoretycznej demokracji burżuazyjnej nie umiała się zdemokratyzować, teraz znalazła formę stania się nie zbytkiem, ale potrzebą, a w tem odrodzeniu swoim wyszła na szerokie pole i ogarnęła dalekie widnokreśli.

Artyści zrozumieli, że nie ciasny techniczny realizm jest demokratyczną formą sztuki, ale myśl artystyczna, przenikająca świat cały i życie wszystkich ludzi.

Obraz dostępny jest albo ludziom bogatym, albo ludziom znajdującym się na malarstwie, ale dekoracya ścian, ale sprzęt, choćby skromny, byle szlachetny w przemyśle, działa cywilizująco na najprostsze umysły i może się stać ich potrzebą, rozwinąć skalę potrzeb i myśli człowieka. — Myśl artystyczna, przenikająca mury koszarowych domów, przedmieść i ulic, wkradająca się do tych smutnych grobów ludzkiej duszy i ludzkiego zdrowia, zwanych biurami i urzędami, uszlachetniająca zadymione wnętrza knajp, uspakajająca roznamiętione umysły we

wnętrzach sal parlamentów, wchodząca nawet do sali szkolnej, gdzie znudzonym nauką dzieciom zajmuje myśl szlachetnym wypoczynkiem, ta myśl jest jasnym światła promieniem, wpuszczonym w szare tło ponurego codziennego życia.

A jeśli ta myśl jest ucieleśnieniem wewnętrznych, uspiionych w duszy ideałów biednego narodu, jeśli ona własnymi motywami śpiewa mu cudną pieśń nadziei, woła go i wstrząsa, odkrywając mu własną jego wartość, pokazując mu bogactwa własnej duszy, w które wierzyć nigdy go nie uczono, — to ta myśl jest wielką i świętą, jest dzwonem wołającym i zapowiadającym jutrznię zmartwychwstania.

Każdej ludzkiej czynności, choćby najmniej, towarzyszyć winna myśl przewodnia, przyświecać gwiazda dalekiego, jak najdalszego celu.

Prawdziwy idealista, sędzę, nawet je i śpi, pisze lub pracuje, bawi się lub czyta gazetę. często może i nieświadomie w tym celu, a przynajmniej w tonie dążenia do spełnienia ostatecznych, najdalszych celów życia.

Przyznajemy otwarcie, bo widzimy to codzień, że ostatecznym, w duszy wiecznie szepczącym, nigdy niezapomnianym celem życia



każdego uczciwego członka narodu jest zawsze odrodzenie... odrodzenie... i... odrodzenie!

Nie mogącemu usnąć w nocy marzą się obrazy różowe odrodzenia i wolności, gdy się zejdzie dwóch Polaków, lub gdy nieznanymi spotkają się n. p. w kolei, to z pewnością po kilku słowach obojętnych, zaczną, jak to mówią, „Polskę budować“.

I artyści polscy, patrząc na cudne polskie ludowe wyroby, na płód mózgu i ducha tego żywiołu, co przyszłość ma nam zbudować jasną, palą się, a palą się nietylko jako artyści.

I o stylu polskim ciągle i wszędzie się mówi, o stylu, co powstać ma z ludowych motywów, z tej resztki zapomnianych płodów pierwotnej duszy ludzkiej.

Więc dziś pisząc tych słów kilka w chwili rodzenia się stowarzyszenia, co ma za cel wprowadzić sztukę na tę nową drogę, chyba życzyć tylko należy, aby w łonie jego zamieszkała ta święta przewodnia myśl stworzenia własnego typu, pokazania własnej twarzy, — i aby przy tej robocie świeciła Towarzystwu ta śliczna gwiazda ostatecznego celu całego narodu.

Niech Towarzystwo wprowadzi polską sztukę w głąb wszystkich polskich serc i niech ją uczyni potrzebą wszystkich, bez wyjątku wszystkich.

Niechże nie będzie paryasów, ani helotów,  
którymby rozkoszy wciągania woni tego kwiatu  
ludzkiej myśli zaprzeczono, niech sztuka polska  
wszystkich, bez wyjątku wszystkich, — budzi  
grzmiącą piosenką nadziei!

## SPIS RZECZY:

	Str.
Wigilia w obozie . . . . .	5
Witold Pruszkowski . . . . .	25
Z powodu wystawy dzieł Juliusza Kossaka . . . . .	37
Chłop polski na uroczystości mickiewiczowskiej . . . . .	57
Wielkanoc na wsi . . . . .	73
Pervigilum Veneris . . . . .	89
W noc majową . . . . .	99
Mały obrazek . . . . .	123
Z powodu zawiązania się Stowarzyszenia Polskiej sztuki stosowanej . . . . .	159





45.-

1942

:



WYDAWNICTWO NAKŁADOWEJ KSIĘGARNI D. E. FRIEDLEINA  
W KRAKOWIE (POD KIEROWNICTWEM JÓZEFA MÜNNICHA).  
RYSUNKI WŁODZIMIERZA PRZERWY-TETMAJERA. CZCIONKI  
„DRUKARNI LITERACKIEJ“ (PRZEDTEM POD NAZWĄ „NOWEJ  
DRUKARNI JAGIELLOŃSKIEJ“) POD ZARZ. L. K. GÓRSKIEGO,  
W KRAKOWIE, PRZY UL. JAGIELLOŃSKIEJ L. 10. DRUKOWALI:  
SOŁTYKOWSKI I A. URBAŃSKI. W KWIETNIU 1902 ROKU.









